

Who said YOLO?

Katolickie poczucie humoru

granice żartu
i prowokacji
w życiu
chrześcijanina



Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Zastępca Redaktora Naczelnego ds. harmonogramów i planowania:

Laura Korzeniowska

Redaguje zespół w składzie:

Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji), Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (koordynator portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudoł (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Jan Buczyński, Michał Gójski, Ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja (szef działu kultura i społeczeństwo), Piotr Ulrich

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Mikołaj Durka, Wojciech Gatek, Marcei Hejwowski, Piotr Krajski, Dorota Ślęczek, Tymoteusz Pyda, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Olga Wachowicz

Okładka: Tomasz Łukasik**Skład gazety w PDF: Maria Ulman**

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu: Maciej Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu

Graficy:

Emilia Witkowska i Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Dział korekty:

Kinga Grodzka (szef działu korekty), Dorota Białecka, Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu, Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Tomasz Leszczyński, Aleksandra Liszka, Tomasz Łukasik, Szymon Stempkowski, Piotr Władysław Sudoł.

Konsultacja teologiczna:

Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

Największy święty?	4
Nina Kogut	
Żartobliwość i Świątobliwość rozmowa z Grzegorzem Polakiem	7
Antonio Akmadża	
Czwarta gęstość dyskusji – w sieci memów, ironii i sarkazmu	12
Szymon Kozieja	
Humor Pana Boga	15
Jan Buczyński	
Istnienie Boga	20
Patryk Kępczyński	
Czy katolik to frajer?	24
Piotr Sudół	
Zbawienne cierpienie	26
Mateusz Bednarek	
Święty, który umywa ręce	29
Jan Borowski	
Mowa nienawiści	34
Dorota Ślęczek	
Szyderoza, czyli chroniczny brak powagi	37
Marceli Hejwowski	
I tu dochodzimy do sprzeczności...	40
Konrad Myszkowski	
Nie jestem Hiobem – kwestia cierpienia w serialu Daredevil	46
Piotr Krajski	
Współczesne legendy templariuszy	51
Wojciech Gałek	
Spisz swój testament i mi wyślij DM-em	57
Marceli Hejwowski	



źródło: unsplash.com

**„Miałem 26 lat, łaskę Bożą, dobry humor i nic ponadto”
Św. Josemaría Escrivá o założeniu Opus Dei**

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Kwiecień w tym roku dotyka dwóch rzeczywistości w życiu chrześcijanina. Pierwsza część miesiąca zatopiona jest w tajemnicy Męki i Śmierci Chrystusa. Pan, przechodząc przez Paschę, dokonał dzieła większego nawet od stworzenia świata, jak głosi Exultet. Niebawem w liturgii Trzech Świętych Dni przejdziemy najbardziej tajemniczą i fascynującą drogę w historii. Od niezrozumienia, wątpliwości, poczucia opuszczenia i śmierci aż do chwały, radości i nadziei.

Dlatego łącząc kontekst wiary z naszym młodym spojrzeniem, chcemy w tym numerze nieco przekornie zapytać o Boga i Jego... poczucie humoru, a także o nasze poczucie humoru. Czym jest prawdziwa chrześcijańska radość? Gdzie są granice żartu i prowokacji w życiu chrześcijanina? Czy memy przedstawiające świętych to bluźnierstwo czy sztuka? I czy święci sobie z nas żartują?

To pytania z pozoru lekkie, ale w rzeczywistości pokazujące nam, że dobro, świętość i piękno nie są przywiązane kurczowo do człowieczego ego. Święci potrafią śmiać się z siebie, mają bystre spojrzenie na świat i znają granice humoru.

Dlatego w najnowszym – 19. numerze miesięcznika „Adeste” nie zabraknie artykułów odnoszących się do naszej radości, wartości humoru w życiu, ale także pytań o to, czy nasza kultura zamiast humorem i ironią, nie żongluje drwiną.

Życząc pełnego pokoju serca i radości, które przynosi Zwycięstwo Chrystusa, zapraszam do lektury.



Z modlitwą +
Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika „Adeste”



źródło:wikimedia.org

Największy święty?



Nina Kogut

Nie jest raczej tajemnicą, że pokolenie urodzone w roku 2000 i później (do którego zresztą się zaliczam) nie będzie pamiętało Ojca Świętego Jana Pawła II. Nie wspominając nawet o młodych urodzonych już po 2005 r., którzy Papieża Polaka znają już tylko z opowieści. Wciąż jednak żyją ludzie, którzy go pamiętają, byli obecni na spotkaniach z nim, przybywali na plac św. Piotra, aby słuchać jego nauczania. Jan Paweł II przebił swoją popularnością Prymasa Tysiąclecia, czyli kard. Stefana Wyszyńskiego, choć obydwaj mają porównywalne zasługi, jeśli chodzi o duchowe wsparcie Polaków w okresie komunizmu. Jednak to właśnie Jan Paweł II stał się na tyle „legendarną” postacią, że jakiegokolwiek głosy krytyki są uważane za równe bluźnierstwu wobec świętego. Papież jeszcze za życia wydawał się nietykalny. Młodzi (niezaangażowani we wspólnoty związane z Kościołem) nie byli nim zbyt zainteresowani, reszta raczej wypowiadała się o nim w samych superlatywach. Wyjątki, choć się zdarzały, były dość sporadyczne. Śmierć papieża na pewien czas zjednoczyła wszystkich Polaków, bez względu na wyznanie i poglądy. No ale co z tego?

Zaczął się oczywiście od Jerzego Urbana i jego artykułu w tygodniku „NIE” z 2002 roku zatytułowanego *Obwoźne sado-maso*. Na zwykłej krytyce poglądów i działań się nie skoń-

czyło, autor jawnie obrażał największego Polaka w historii, co skończyło się dla niego kilkoma wizytami w sądzie. Ale tygodnik, którego redaktorem naczelnym jest nadal Jerzy Urban, właści-

wie odkąd istnieje, słynie z kontrowersyjnych treści i wplątany był w różne afery, więc można przymknąć na to oko. Prawdziwa wojna rozpoczęła się w okolicach 2009 roku w In-



Woskowa figura św. Jana Pawła II w Krakowie

źródło: [wikimedia.org](https://commons.wikimedia.org)

ternie. Co ciekawe, w przeciwieństwie do większości tego typu trendów, takich jak rzucanie kamieniami w dinozaury czy Kudłaty w Mortal Kombat, papież jest wciąż obecny jako mem i stale przybiera nowe formy. Świadczy to o co najmniej kilku ważnych sprawach. Kwestią sporną jednak pozostaje to, czy nadal jest to śmieszne.

Tak zwane „cenzopapy” poruszają bardzo delikatną sferę, mianowicie w mniejszym lub większym stopniu uderzają w autorytet św. Jana Pawła II. Im bardziej są one obrazoburcze, tym mocniej reaguje na nie strona katolicka, a im bardziej katolicy się oburzają, tym bardziej nakręca to śmiejących się. Łatwo jest też zalecać, żeby

takie zjawiska ignorować, jak sugerował Piotr Żyłka – autor projektu FaceBóg i redaktor *Deon.pl*. Bo tropienie i usuwanie kolejnych użytkowników i stron na Facebooku to prawdziwa walka z wiatrakami... czy może raczej z mityczną Hydrą. Postawa bardziej konserwatywnych środowisk kościelnych również nie ułatwia sprawy. Używanie niekiedy przerysowanych określeń, takich jak: „plugawe filmiki i nagrania”, „niewyobrażalnie wulgarne treści” czy „szkalowanie osoby świętego” wywołuje tylko uśmiech politowania. Nie myśli się nawet o podjęciu dialogu z tymi internautami, którzy oprócz udostępniania akronimu JP2GMD (którego pozwolę sobie nie rozwijać) potrafią kon-

struktywnie krytykować papieża. Najczęściej padające zarzuty to między innymi brak reakcji wobec ludobójstwa w Rwandzie, potępienie używania antykoncepcji w afrykańskich krajach dotkniętych epidemią AIDS czy ukrywanie problemu pedofilii w Kościele. Zamiast zdrowej dyskusji z ludźmi podającymi takie oskarżenia, katolicy wolą niekiedy zazdrośnie i bezkrytycznie bronić Ojca Świętego odwołując się do autorytetu, jakim niewątpliwie był i jest nadal. Choć potrzeba dyskusji jest ogromna, to obrazki mające na celu jedynie obrażanie chyba jej nie służą.

W ubiegłym roku jednym z najpopularniejszych młodzieżowych słów stało się „odjaniepawlać”. Oznacza ono ni mniej ni więcej, jak przesadzać, reagować nieadekwatnie do sytuacji. Dlaczego święty stał się neologizmem? Czy to już bluźnierstwo na poziomie bardziej zaawansowanym niż obraźliwe grafiki rodem z serwisu Wykop? Okazuje się, że nie do końca. Napisał o tym o. Maciej Zięba na łamach Rzeczpospolitej w artykule pt. *Dlaczego się odjaniepawla?:* „Niestety, jest to słowo-oskarżenie. Oskarżenie całego świata dorosłych: rządów i samorządów, kleru – od biskupów po wikarych i katechetów (w tej grupie zapewne wina jest największa), nauczy-



cieli i pracowników mediów, polityków i wszystkich katolickich zrzeszeń i organizacji. [...] Ale trzeba też zarazem pamiętać, że młodzież zawsze jest wyczulona na wszelkie formy sztuczności, fasadowości czy hipokryzji, niezmiernie inteligentnie wyczuwa rozbieżność pomiędzy warstwą słów i deklaracji a realiami życia. Ten slangowy młodzieżowy neologizm oznacza, że generacja młodych Polaków jest zmęczona ilością obchodów rocznic, akademii, prelekcji, uroczystości, monumentów, rond, ulic, alei, bulwarów, mostów, kładek, szpitali, przychodni, żłobków, przedszkoli, szkół, ośrodków, szlaków górskich, wodnych oraz lądowych im. Jana Pawła II. Na taki przesyt zawsze reaguje się ironią”.

Ciężko w tym wypadku zaprzeczyć faktom: nauczanie Papieża Polaka zostało mocno

splątane, przybierając formę jarmarcznego kultu. Naszego świętego kojarzymy właściwie z kremówkami, górami i tym, że kochał Polskę. Wizerunek papieża można dostrzec często w miejscach tego niegodnych, a stawiane mu pomniki odbiegają od ideału.

Czasami jednak zapomina się o dość ważnym aspekcie pontyfikatu (i nie tylko) Jana Pawła II. Jeszcze jako biskup starał się przebijać rosnącą wokół niego bańkę patosu, np. w trakcie swoich podróży, o czym świadczyć może publikacja *Kwiatki Jana Pawła II* opracowana przez Janusza Poniewierskiego. Znajdziemy w niej różne anegdoty z życia papieża od czasów dzieciństwa aż do wieku sędziwego pokazujące, że Karol Wojtyła zawsze umiał zareagować z humorem, być może ułatwiając niektórym kontakt z Bogiem. W dalszym

ciągu artykułu o. Zięby można zresztą przeczytać: „Pamiętam, jak w 1998 r., rozmawiając wraz z abpem Gołtowskim o idei Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia, usłyszeliśmy od Jana Pawła II: »Nie potrzeba pomników, trzeba docierać do serc«. Trzeba więc docierać do serc i umysłów młodej generacji, nie tylko znacznie częściej używając jej środków komunikowania się pomiędzy sobą, ale ukazując dzieło papieża jako twórczą inspirację do rozwiązywania dzisiejszych problemów i poszerzające horyzonty w naszym myśleniu o przyszłości”.

W kontakcie z kolejnymi generacjami młodzieży mówienie o Janie Pawle II tak, jak prof. Bładaczka mówił o Słowackim, zwyczajnie nie przyniesie rezultatów, wręcz przeciwnie, może nawet zniechęcić lub nastawić wrogo. Współcześni chrześcijanie muszą być wytrawnymi dyskutantami. A na pewno nie stanie się tak, jeśli nie odrzucimy apologetyki na rzecz otwartości na konstruktywną krytykę.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:pixabay.com

Żartobliwość i Świątobliwość rozmowa z Grzegorzem Polakiem



Antonio Akmadża

Czy w Kościele jest miejsce na żart? A jeśli tak – jaka jest jego rola? Czy również w tej sprawie możemy się uczyć od św. Jana Pawła II? Na ten temat rozmawialiśmy z Grzegorzem Polakiem, dziennikarzem, który śledził pontyfikat papieża Polaka od samego początku, a obecnie jest kierownikiem działu merytorycznego w Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Warszawie.

AA: Proszę powiedzieć kilka słów o sobie i o tym, co Pana łączy z Janem Pawłem II.

GP: Jestem matuzalemem dziennikarstwa katolickiego w Polsce, bo mam za sobą ponad czterdzieści lat pracy w zawodzie. Zaczynałem w czasach PRL, za nieświętej pamięci cenzury. Od samego początku pon-

tyfikatu Jana Pawła II staram się opisywać jego fenomen, a od dwudziestu lat z okładem zajmuję się głównie tym. Upowszechnianie wiedzy o tym cudownym, wspaniałym, genialnym, świętym człowieku traktuję jako powołanie. Zebrało się tego 85 milionów egzemplarzy różnych serii i wydawnictw poświęconych papieżowi, więc średnio

Polak Polakowi dwa egzemplarze pisemka o papieżu podarował. Jest dla mnie niezastąpioną łaską, że jako jedyny piszący dziennikarz zrelacjonowałem wszystkie pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. W kanale telewizyjnym Religia.tv miałem ksywę „papieżolog”. Obecnie jestem szefem działu merytorycznego w Muzeum Jana Paw-

ła II i Prymasa Wyszyńskiego, tworzonym pod kopułą Świątyni Opatrzności Bożej na warszawskim Wilanowie. Łączy mnie z papieżem przede wszystkim powinowactwo duchowe. Jest on dla mnie nieustannie punktem odniesienia, mistrzem, źródłem inspiracji. Bardzo często opieram się na nim, gdy tłumaczę sobie i czytelnikom rzeczywistość eklezjalną i współczesność. Mimo że zjadłem zęby na papieżu, wciąż mnie zaskakuje. Ostatnio – ku mojemu zaskoczeniu – ukazał się 500-stronicowy skrypt katolickiej nauki społecznej autorstwa Karola Wojtyły. Nie przypuszczałem, że miał tak przeogromną, szczegółową wiedzę z tego zakresu. Dało mu to świetną bazę do napisania trzech encyklik społecznych.

AA: Jan Paweł II przez wielu ludzi został zapamiętany jako papież uśmiechnięty, przyjazny, z poczuciem humoru. Czy Pan również zachowuje w pamięci taki jego obraz?

GP: Ależ oczywiście! Bardzo często widziałem na żywo uśmiechniętego papieża, również na wielu filmach, zdjęciach. Uśmiech był jego znakiem firmowym, niemal tak częstym jak skupienie modlitewne. To widział cały świat. Nieraz nawet na jego twarzy pojawiał się szelmowski,

łobuzerski uśmiech, na przykład wówczas, kiedy niespodziewanie podszedł do ks. prof. Józefa Tischnera i rozczapierzonymi palcami rozwichrzył mu czuprynę. Papież był tym wyraźnie rozbawiony, ks. Tischner chyba też. Ja sam doświadczyłem radości, stojąc oko w oko z uśmiechniętym papieżem, choć przez cały czas naszego krótkiego spotkania minę miałem nietęgą. Było to 14 sierpnia 1991 r., kiedy Ojciec Święty odwiedził rodzinne Wadowice. Nie zdążyłem do kościoła Ofiarowania NMP, gdzie papież modlił się przy chrzcielnicy, chcąc uczcić włączenie go do wspólnoty wyznawców Chrystusa. Zziębnięty pobiegłem jednak w kierunku świątyni, w pewnym momencie podniosłem głowę i zobaczyłem... uśmiechniętą twarz papieża. Dostłownie mnie zatkąło. Ale tylko na chwilę, bo zaraz wykrzyknąłem: „Pozdrowieni dla Ojca Świętego od polskich dziennikarzy!”. Papież przyglądał mi się z dobrotliwym uśmiechem i zapytał: „A gdzie pan pracuje?”. I w tym momencie nogi się podemną ugięły, bo pracowałem w największej gazecie w Polsce, która już wówczas była krytyczna wobec Kościoła, choć nie tak jak obecnie, i papież musiał o tym wiedzieć. Wycodziłem struchlały przez

zęby: „w »Gazecie Wyborczej«, spodziewając się jakiejś uwagi. Tymczasem papież, nie przestając się uśmiechać, zapytał: „A będziecie mnie tam wybierać?”. Oniemiałem i stałem przez kilka minut jak zakłęty, a tymczasem Jana Pawła II „porwali” gdzieś dalej.

AA: Czy pamięta Pan jeszcze jakieś wydarzenia związane z Janem Pawłem II, które Pana rozbawiły?

GP: Było ich mnóstwo. Sam wydałem cztery książeczki z „kwiatkami” papieskimi. Spośród kilkuset mam dwa ulubione. W dniach 8-9 listopada 1996 r. Jan Paweł II przyjmował w Watykanie księży, którzy razem z nim obchodzili jubileusz pięćdziesięciolecia kapłaństwa. Wszystkich obdarował pięknymi stułami z herbem papieskim i torbami podróżnymi pełnymi wspaniałych upominków. Sześciu księży z Polski zostało zaproszonych na prywatny obiad w apartamencie papieskim. Ojciec Święty był akurat po operacji wyrostka robaczkowego. Któryś z księży powiedział przy milnie: „Wasza Świątobliwość to teraz, po operacji, lepiej wygląda niż przedtem”. A papież na to: „To też się daj zoperować”. Drugie wydarzenie miało miejsce kilkanaście lat wcześniej, podczas pielgrzymki Jana Paw-

ła II do anglikańskiej Wielkiej Brytanii, w której nie brakowało z tego powodu protestów antypapieskich. 30 maja 1982 r. na trasie przejazdu papieża w Liverpoolu stali jego przeciwnicy z transparentami obwieszczającymi: „Każdy, kogo pobłogosławi papież, jest skazany na piekło”. Biograf papieski, Garry O'Connor, tak o tym pisze: „Jan Paweł II odwrócił się ku jednemu z nich i z figlarnym błyskiem w oku udzielił mu błogosławieństwa”.

AA: **Życie Karola Wojtyły nie było jednak beztrudne. W młodym wieku stracił matkę i brata, doświadczył horroru drugiej wojny światowej, a i za pontyfikatu spotykał się z ludźmi żyjącymi w skrajnym ubóstwie, ciężko chorymi, z ofiarami wojen, prześladowań, głodu... Sam zresztą był ofiarą zamachu. Jak w obliczu ludzkiego cierpienia, cudzego i własnego, pozostać człowiekiem uśmiechniętym i radosnym?**

GP: Trzeba być człowiekiem wielkiej, niewzruszonej wiary, żeby w jej świetle widzieć nawet najbardziej traumatyczne wydarzenia. Karol Wojtyła osiągnął ten stan już w wieku młodzieńczym, czym zadziwił dorosłych. Mam na myśli jego postawę po śmierci mamy, a następnie brata,

co Karol odczytał jako przejaw woli Bożej. Te dwa dramatyczne wydarzenia odcisnęły piętno na jego psychice. Stał się chłopcem bardziej poważnym, ale przecież nie zgorzkniałym. Potem, podczas okupacji, przeżył wiele dramatycznych doświadczeń, w tym śmierć ojca, ale to też go nie załamało.

AA: **Czy Jan Paweł II pozostawał człowiekiem radosnym również w ostatnich latach swojego życia – wtedy, kiedy z powodu zaawansowanej choroby nie mógł się już nawet fizycznie uśmiechnąć?**

GP: Z ostatnich miesięcy papieża pamiętamy grymas cierpienia na jego twarzy. Ale i wtedy nie zaprzestał robienia kawałów, choć precyzyjniej należałoby powiedzieć: niespodzianek. Bo Janowi Pawłowi II nie chodziło o to, aby płatać figle, ale nieść ludziom radość, dać znak, że o nich pamięta. Na rok przed śmiercią, kiedy był już bardzo cierpiący, złożył niespodziewaną wizytę w jednym z rzymskich klasztorów żeńskich. Proszę sobie wyobrazić: siostry po kolacji, zagłębione w pobożnej lekturze, a tu dzwonek do drzwi. Któż to taki o tak nietypowej porze? Otwierają, a za drzwiami stoi papież! Nie ochłonęły jeszcze po wizycie, kiedy usłyszały kolejny dzwo-

nek: to postaniec z czekoladkami od papieża! Wszystkie osoby odwiedzające umierającego Jana Pawła II zapamiętały jego pogodną twarz.

AA: **Czy patrząc na całość życia i pontyfikatu Jana Pawła II można powiedzieć, że poczucie humoru było jego cechą naturalną, istotną częścią jego osobowości, czy również swego rodzaju strategią PR-ową?**

GP: Tu nie było żadnej zaplanowanej strategii. Papież po prostu taki był. Nic nie kalkulował. On miał radosną, pogodną naturę. Pozostawał absolutnie szczery w tym, co robił. Z niczym się nie krył. Także wtedy, gdy wbrew stylowi świata ukrywającego chorobę, cierpienie i śmierć, wystawił na widok publiczny swoje chore ciało i swoją niemoc. Głosząc Ewangelię cierpienia, przemawiał chyba mocniej niż jako niezniszczalny heros Wojtyła przez kilkanaście lat pontyfikatu.

AA: **Co Pan sądzi o poczuciu humoru jako strategii w duszpasterstwie? Zarówno w kazaniach, jak i podczas różnych innych spotkań, szczególnie z młodymi, księża od czasu do czasu lubią okazywać poczucie humoru dla łatwiejszego nawiązania kontaktu ze słuchaczami. Czynią to mniej**

lub bardziej skutecznie, ale pozostaje pytanie o moralne uzasadnienie takiego podejścia – kiedy żart jest uzasadniony, a kiedy staje się zwykłą sztuczką dla uzyskania sympatii?

GP: Jestem jak najbardziej za. W średniowieczu na porządku dziennym był risus paschalis – śmiech paschalny. W okresie wielkanocnym głoszone radosne, pełne żartów kazania. Później ta tradycja zamarła, ale dziś przeżywa renesans. Zresztą praktykowana jest w ciągu całego roku liturgicznego. W kościele – w tym przez duże i małe „k” – jest miejsce na uśmiech, a nawet na śmiech. Przecież chrześcijaństwo to najradośniejsza religia, a bez radości popadlibyśmy w ponury dogmatyzm. Nawet gdy pościmy, nie powinniśmy, jak zaleca Jezus Chrystus, mieć ponurej twarzy. Nie można jednak popadać w skrajności. Są księża, którzy za wszelką cenę chcą przypodobać się młodym, a jednym ze sposobów jest przyjmowanie ich słownictwa. Jeszcze z czasów swojej młodości pamiętam katechetę, który wyświetlił nam slajdy z Drogi Krzyżowej i tak komentował słowa dobrego łotra do współtowarzysza swojej niedoli, który urągał Jezusowi: „Ty, ojciec, weź zbastuj. On się za nas poświęcił, a ty wyskakujesz z takim tekstem”. „Takimi tekstami” naraził

się po prostu na śmieszność. Humor w duszpasterstwie jest niezbędny, ale w rozsądnych granicach i z zachowaniem taktu.

AA: Tak jak już powiedziałem na początku, Jan Paweł II w pamięci wielu ludzi pozostał jako papież uśmiechnięty. Natomiast za swojego długiego pontyfikatu dużo mówił i pisał o trudnych, poważnych sprawach, o wielkich wyzwaniach dla Kościoła i współczesnego świata, o odpowiedzialności chrześcijan za świat, za Kościół, za bliźniego. Jak połączyć poczucie humoru z przekazywaniem głębokich, poważnych, a czasami nawet trudnych treści?

GP: Jan Paweł II od żartów, przekomarzań z wiernymi, przechodził płynnie do rzeczy poważnych. Dzięki swojej charyzmie panował nad rzeszą słuchaczy, których od śmiechu wprowadzał w nastrój zadumy i powagi. Odpowiadając na pytanie: to wymaga wielkiego taktu i wyczucia. Ale nawet podczas bardzo poważnych celebracji Jan Paweł II reagował sympatycznie i z humorem w niespodziewanych sytuacjach. W czasie beatyfikacji Edyty Stein 1 maja 1987 r. w Kolonii bardzo blisko Ojca Świętego znalazł się karmelitański postulator procesu beatyfikacyjnego. Papież, udając zagniewanie, powiedział:

„A gdzie ty mi się płaczesz pod nogami?”. Karmelita doskonale wiedział, że to nie żadne połażanki, ale przejaw sympatii.

AA: Istnieje jeszcze jedno wyzwanie związane z żartem. Potrafi rozśmieszyć, rozbawić, stworzyć przyjemną atmosferę, podnieść nastrój, ale czasami również urazić, obrazić, wyśmiać i sprawić komuś przykrość. Jak Jan Paweł II radził sobie z tym ryzykiem?

GP: Papież był człowiekiem wielkiej klasy. Miał doskonałe wyczucie, co mu wolno, a czego nie. Z nikogo publicznie się nie zgrywał, choć potrafił być lekko złośliwy w towarzystwie przyjaciół i najbliższych współpracowników. Wiemy o tym z ich wypowiedzi. O jednym z takich przypadków opowiedział francuski kardynał Paul Poupard. Na początku pontyfikatu Jana Pawła II kardynał Poupard wraz z innymi hierarchami w obecności papieża dyskutowali nad celowością powołania Papieskiej Rady do spraw Kultury. Jeden z kardynałów był zdecydowanie przeciwny takiej strukturze, gdyż uważał ją za niepotrzebną, wręcz niepożądaną. Ojciec Święty nie zabierał głosu, cały czas czytał „Annuario Pontificio”. Papieska Rada do spraw Kultury jednak powstała. Po śmierci owego purpurata kard.



fot. Paweł Sobczyk

Poupard gościł na śniadaniu w apartamencie papieskim. Tak wspominał tę wizytę u Jana Pawła II: „Pod koniec posiłku papież patrzy na mnie i widzę błysk złości w jego spojrzeniu: »Ostatecznie więc istniejemy!«. Byłem w kłopotcie, nie bardzo wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć. Cisza zaległa przy stole. »Przypominacie sobie« – odezwał się Ojciec Święty – »pewien kardynał nie był tak bardzo za nami«”.

AA: Tutaj pojawia się też kolejne zagadnienie – to, co w jednym środowisku lub kulturze jest akceptowane i uznawane za zabawne lub przyjemne, w innych może być obraźliwe i niesmaczne. A Jan Paweł II spotykał się z ludźmi z całego świata, z różnych środowisk. Jak sobie radził z taką różnorodnością? Czy jego słowa i gesty oraz poczucie humoru wszędzie były odczytywane tak samo?

GP: Papież niezwykle starannie i intensywnie przygotowywał się do każdej pielgrzymki, starał się jak najlepiej poznać kulturę, język i historię odwiedzanego kraju, mentalność tamtejszych ludzi. Dzięki temu nie popełniał faux pas. Mało tego, potrafił prowadzić dialog nawet w rodzimych dialektach. Jadąc na spotkanie z Indianami z selwy amazońskiej, w peruwiańskim Iquitos wyłowił z ich rozmów słowo charapa, oznaczające gatunek żółwia. Tak też nazywają czasami siebie Indianie. Dlatego pod koniec spotkania Jan Paweł II wyznał słuchaczom: „Chcę wam powiedzieć, że papież czuje się charapa”. Indianie odpowiedzieli: „Niech żyje papież, który też jest charapa”. W peruwiańskim Cuzco, podczas spotkania z Indianami 3 lutego 1985 r., ku ogromnej uciechy zgromadzonych Jan Paweł II powiedział: „Przybywam do was jako kot”. Do dzisiaj starsi Indianie w Cuzco pamiętają ten lapsus językowy papieża. Takie było ryzyko przemawiania w miejscowych dialektach, ale ono się opłacało, bo ludność tubylcza zawsze doceniała ten gest.

AA: Jakie cechy powinny się wiązać z poczuciem humoru, aby można je było nazwać „dobrym”, w moralnym znaczeniu tego słowa? Czy żartobliwość może być cnotą? Czy

była ona cnotą w przypadku Jana Pawła II?

GP: Tak, była cnotą, bo ułatwiała mu nawiązywanie kontaktu z ludźmi, czasem pozwalała rozładować napiętą atmosferę, z czego Karol Wojtyła był znany jeszcze w czasach krakowskich. Kiedyś podczas zebrania w Kurii Metropolitalnej Krakowskiej jeden z księży, bardzo zdenerwowany, krytykował opóźnienie się jakiegoś projektu. Wreszcie zwrócił się z apelem do arcybiskupa Wojtyły: „Księżę kardynale, niech ksiądz doprowadzi w końcu do porodu tego projektu!”. Abp Wojtyła odparł spokojnie z uśmiechem: „Tadziu, Tadziu, czy ty mnie bierziesz za akuszerkę?”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i napięcie od razu zniknęło. Humor jest dobry, kiedy nikogo nie rani, kiedy zbliża ludzi i kiedy powoduje u nich uśmiech i dobry nastrój. Papież doskonale o tym wiedział.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło:pixabay.com

Czwarta gęstość dyskusji – w sieci memów, ironii i sarkazmu



Szymon Kozieja

Dlaczego piszę ten tekst? Myślę, że jedynym sensownym wyjaśnieniem na to jest mój brak poczucia humoru i odpowiedniego poziomu inteligencji, które pozwoliłyby mi zrozumieć usłyszany sarkazm. Podobnie ironia – gdyby stanęła przede mną i się przedstawiła, wprowadziłaby mnie w tak wielką konsternację, że długo analizowałbym jej słowa, aby w ostateczności wzruszyć ramionami i opuścić pomieszczenie w zorganizowanym pośpiechu. Zrobiłbym w sumie o tym mem, ale i tak pewnie będzie słaby, więc spróbuję zrobić coś, co (chyba) umiem – napisać artykuł.

Oczywiście taka forma za-
kłopotania kocha każdego i ni-
kogo nie oszczędza. W szczegól-
ności w naszych internetowych
wojaczach po forach i grupach
możemy napotkać przeróż-
ne wypowiedzi, których liczba
warstw ironii jest tak głęboka,
że sam autor na pewno nie jest

świadom, jak wielkiego dzie-
ła dokonał. Kolejną trudnością
może być bariera, jaką stawia
ekran. Niejednokrotnie jeste-
śmy skazani tylko na interpre-
tację samego tekstu, a czasem
także przekazu graficznego. Nie
widząc mowy ciała i mimiki oraz
nie słysząc głosu, otrzymujemy

uboższą treść komunikatu.

Internet jako kanał szybkie-
go przesyłu informacji dopro-
wadził do ogromnego zderzenia
ludzi pochodzących z różnych
środków, grup, narodowości
i kręgów kulturowych. Dziś, jak
nigdy, warto rozmawiać na te-
maty związane z... rozmową.

Ważną kwestią jest także przypomnienie o moralnych aspektach dyskusji.

Zanim jednak przejdę do kwestii problemów komunikacyjnych, przynudzę trochę definicjami. Dlaczego? Nie od dziś znanym faktem jest, że wspólna definicja pojęć jest kwestią fundamentalną w dotarciu do sedna sprawy. Jej brak, a przynajmniej nieumiejętność zrozumienia różnic w terminologiach używanych przez rozmówców, czyni wszystkie rozprawy i wywody jałowymi.

Ironia i sarkazm – z czym to się je?

Jak podaje *Słownik Języka Polskiego PWN*, ironia to: „ukryta złośliwość, pogarda lub kpina wyrażona przy pomocy pozornej aprobaty”. Wielu jednak uważa tę definicję za złą, ponieważ nie oddaje tak naprawdę głębszej istoty znaczenia tego słowa. Nie zawsze przecież nieśmiałość w sobie treść nacechowaną negatywnie pod względem emocjonalnym.

Czymże więc jest? Najlepsze, według mnie, określenie znajdziemy w naszej znanej i lubianej ciotki Wikipedii: „sposób wypowiedziany się, oparty na zamierzonej niezgodności, najczęściej przeciwieństwie, dwóch poziomów wypowiedzi: dosłownego i ukrytego”. Jeden z naj-

większych polskich poetów, Cyprian Kamil Norwid, pisał o niej, „że jest koniecznym bytu cieniem”. To w ironii rzeczywistość odbija się jakby karykaturalnie.

Inaczej jest w przypadku sarkazmu. Jest on mocniejszą formą ironii i zawsze zawiera element negatywny w swojej naturze. Nadużyciem jednak byłoby stwierdzenie, że kierowany jest tylko i wyłącznie jako przytyk wobec drugiego człowieka. Równie dobrze może być ekspresją wewnętrznego niezadowolenia z zastanej rzeczywistości oraz przybrać wiele innych kształtów – w tym między innymi wydźwięk autoironiczny.

Ironia memów

Bardzo często w mowie potocznej memem określamy każdy śmieszny obrazek pochodzący z internetu. W takim przypadku jest to bardzo szerokie pojęcie. Warto jednak spojrzeć na temat z innej perspektywy. Memy tworzą się ze skonwencjonalizowanych elementów ściśle związanych z kulturą internetu. W pewien sposób komentują one otaczającą nas rzeczywistość, stając się istotnym środkiem współczesnej komunikacji.

Nie można zapomnieć, że same memy bardzo często prześlągnięte są ironią i sarkazmem. Niewprawiony obserwator, któ-

ry nie uczestniczy w kulturze internetu, może bardzo łatwo wpaść w takiej sytuacji w zasadzkę.

Problemy komunikacyjne, postmem, kod

Bardzo możliwe, że jednym z najczęstszych powodów nieodczytania konkretnego przykładu ironii lub sarkazmu będzie niezauważenie wewnętrznej niezgodności treści wypowiedzianej z zachowaniem drugiej osoby oraz z zastaną sytuacją. Kolejnym z nich jest też prawdopodobnie brak zrozumienia kodu, z jakiego osoba ironizująca korzysta.

Obserwując funkcjonowanie różnych memów w internecie, nie sposób nie zwrócić uwagi na istnienie pewnego rodzaju subkultury, która pojawiła się wokół niego. Wytworzyła ona charakterystyczny kod, na który składa się nie tylko ciągle rozbudowujący się kanon memów, ale i charakterystyczny język w pełni zrozumiały tylko dla jej członków.

Po pewnym czasie podróży mema przez internet zaczynają pojawiać się tzw. postmemy. Jest to ironiczne spojrzenie na funkcjonujący już schemat. Patrząc powierzchownie, można stwierdzić, że powstają one zwykle poprzez usunięcie wcześniejszej warstwy ironicznej,



źródło:unsplash.com

a tak naprawdę – paradoksalnie – dodając kolejną (albo i jeszcze kolejne!). Zrozumienie przekazu takiej grafiki dla obserwatora zewnętrznego jest niemożliwe, ponieważ nie dysponuje on odpowiednim kodem, dzięki któremu potrafiłby rozszyfrować przekaz autora.

Pojęcie kodu jest we współczesnym świecie jednym z najważniejszych terminów, jeżeli chodzi o zrozumienie przeliczných wypowiedzi i obrazów, na jakie trafiamy na przykład w komentarzach na Facebooku. Jest on warunkiem komunikacji między nadawcą a odbiorcą, przez co musi być zrozumiały dla obu stron. W wyniku niezrozumienia może pojawić się problem komunikacyjny. Jest to także jedno z miejsc podatnych na

rozwój trollingu.

Wielu z nas dzisiaj żyje między rzeczywistością fizyczną i światem internetu. Wypowiedź w internecie na poziomie moralnym nie różni się bardzo od tej, którą stosujemy poza nim. Dlatego tworząc różne komunikaty, musimy być świadomi, do kogo je kierujemy.

Jak zachować Rozum i Godność Człowieka w dyskusji?

Nadużywanie „insajdowego” zespołu symboli nie jest w mojej opinii jednak największym problemem. Czasami w dyskusji dochodzi do eskalacji, gdzie coraz częściej pojawiają się przytyki personalne, zbędna ironia i sarkazm. Warto zawsze zapytać

siebie, jaki mamy cel, pisząc kolejny post, kolejną wiadomość, czy też wstawiając kolejną grafikę. Nie czuję się jednak kompetentny, by stawać w roli sumienia użytkowników internetu, więc w tym miejscu przywołam tylko (a może i aż!) słowa naszego Mistrza Jezusa Chrystusa: „Dobry człowiek z dobrego skarbcza wydobywa dobre rzeczy, zły człowiek ze złego skarbcza wydobywa złe rzeczy. A powiadam wam: Z każdego bezużytecznego słowa, które wypowiedzą ludzie, zdadzą sprawę w dzień sądu. Bo na podstawie słów twoich, będziesz uniewinniony i na podstawie słów twoich będziesz potępiony” (Mt 12,35).

Czy więc katolik może używać tytułowych form ekspresji? Jak najbardziej – jeszcze jak! Nie zapominajmy jednak o rozumie i godności człowieka – bądźmy łagodni dla bliźniego.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Humor Pana Boga



Jan Buczyński

Czy Pan Bóg ma poczucie humoru? Choć Ewangelia jest „radosną nowiną”, to jednak wielu z nas uważa, że boskich i świętych spraw nie należy obracać w żart ani z nich dowcipkować. To prawda. Z drugiej strony jednak, gdy zajrzemy do Pisma Świętego, odnajdziemy tam wiele miejsc, w których można dostrzec nie tylko subtelny humor Wszechmogącego, ale również naukę, że rozpoznawanie ironii, dystansu i komizmu to ważna umiejętność. Nie miał więc racji karykaturalny mnich Jorge z powieści Umberto Eco *Imię Róży*, który za myśl heretycką uznawał pogląd, iż Chrystus kiedykolwiek się śmiał.

Można odpowiedzieć: „nigdzie w Ewangeliach nie jest napisane dosłownie, że Jezus się śmiał”. Owszem, lecz skoro był On prawdziwym człowiekiem z krwi i kości, to nie mógł być pozbawiony zmysłu humoru – jego brak świadczyłby raczej o posępności i nieprzyjemnym usposobieniu Zbawiciela, a taki

wniosek odsuwamy od siebie nawet podświadomie. Odczytanie różnych scen w Biblii (nie tylko w Ewangeliach) w kluczu komizmu wydaje się cenną umiejętnością. Pismo Święte to dzieło tak różnorodne i bogate pod względem literackim, że autorzy nie omieszkali sięgnąć przy jego tworzeniu również do

takich środków wyrazu jak paradoks, hiperbola, gra słów. Odpowiednio użyte, mogą one stanowić świetną formę komunikacji i przekazu ważnych treści.

Definicje

Mówiąc o „humorze Pana Boga”, musimy mieć świadomość

mość precyzyjnego zdefiniowania terminów, którymi się posługujemy – po to, aby uniknąć nieporozumień albo wrażenia lekceważenia Bożego majestatu, Jego świętości, chwały i należnego Jemu szacunku. Czym innym jest przecież poczucie humoru, subtelna ironia i dystans, a czym innym bezmyślny rechot, kpina czy szyderstwo. Prawdziwa radość, pogoda ducha czy wreszcie autoironia i dystans wobec samego siebie mają źródło w Bogu – są owocami pokory oraz łagodności. Drwina, zgryźliwość czy infantylny dowcip to natomiast skutki grzechu i jadowitej złości, których celem bywa poniżenie drugiego człowieka, zszarganie rzeczy wielkich i świętych czy wręcz bluźnierstwo.

To ważne rozróżnienie. Pan Bóg, owszem, ma poczucie humoru, którego ślady możemy dostrzec choćby w świecie stworzonym, pełnym elementów komicznych, wywołujących w nas naturalny uśmiech. Będzie to choćby wygląd i zachowanie niektórych stworzeń, zaskakujący splot wydarzeń, nieoczywiste prawidła natury – jako osoby obdarzone zmysłem humoru (jego posiadanie to pozytywna cecha) potrafimy te ślady Boskiego komizmu odnaleźć i odczytać. Jednak Pan Bóg nie jest szydercą, sarkastycznym cynikiem czy złośliwym bóstwem,



Sara słyszy i się śmieje,
aut. James Tissot.

źródło:unsplash.com

które zabawia się istotami niższego rzędu. Kocha nas i – posługując się analogią do ludzkiego rodzicielstwa – „puszcza do nas oko” jak ojciec do dziecka, używając humoru jako jednego z narzędzi okazania nam swojej miłości i dobra.

Śmiech Sary

Żeby odnaleźć ślady humoru w Biblii, trzeba na niego patrzeć z pewną subtelnością – Pismo Święte to nie jest lekka i błaha lektura. To Księgi Święte, a nie zbiór zabawnych anegdot. Jednak uważny czytelnik z pewnością spotka się w niektórych miejscach ze scenami prze-

nikniętymi wyrazami Bożego dowcipu albo swoistego „droczenia się” z człowiekiem. Oto już w Księdze Rodzaju (por. Rdz 17,17; 18,12) spotykamy się z sędziwym małżeństwem Abrahama i Sary (on ma sto, a ona dziewięćdziesiąt lat).

Gdy anioł posłany przez Boga przepowiada im potomstwo, obydwójce reagują na to śmiechem. Nie mogą uwierzyć w taki splot wydarzeń. Gdy Bóg to zauważy, Sara ze strachu zaprzecza: „Nie śmiałam się!”, ale Pan mówi: „Przeciwnie, śmiałaś się”. Gdy w końcu na świat przychodzi upragniony syn Izaak, Sara mówi: „Powód do śmiechu dał mi Bóg. Każdy, kto się o tym

„dowie, śmiać się będzie z mej przyczyny” (Rdz 21,6). Hebrajskie Jic’chak oznacza właśnie „śmiech”. Można powiedzieć, że Bóg zawsze śmieje się ostatni...

Ktoś zaprotestuje: „to jest doszukiwanie się humoru na siłę!”. Po co to robić, skoro choćby ten fragment niesie przede wszystkim inne przesłanie – Bożego wybraństwa, przymierza, złożonej i wypełnionej obietnicy? To prawda, Biblia to nie jest „podręcznik dowcipu”, ale z drugiej strony znajdowanie jego przebłysków na pewno nikomu nie zaszkodzi. Przeciwnie, może pomóc samemu człowiekowi być pogodnym, wyrobić w nim umiejętność właściwego posługiwania się humorem oraz, co bardzo ważne, nauczyć przystępowania do Boga w postawie dziecka, które spotyka się z Ojcem kochającym, czułym i pogodnym, a nie zimnym i surowym.

Jest to wreszcie sposobność do głębokiego i jednocześnie radosnego przeżywania wiary. Jak pisze ks. Tomasz Jaklewicz, medytując nad przywołanym wyżej fragmentem biblijnym („Gość Niedzielny” 28/2014): „Nam czasem może wydawać się, że Bóg robi sobie z nas żarty (bezpłodna staruszka będzie mieć dziecko). Ale ostatnie słowo należy zawsze do Boga. Rzeczy niemożliwe stają się rzeczywistością. Łaska przekra-

cza ludzkie kalkulacje. Kiedy się o tym przekonujemy, pojawia się szczerą radość z cudownego działania Boga, w którym mieści się także śmiech z własnej niewiary. Sara widziała odtąd zawsze w Izaaku uśmiech Boga i chciała nim dzielić się z całym światem. Czy każda z łask, które otrzymujemy co dnia, nie jest takim Bożym uśmiechem?”

Zrędlivy Jonasz

W Starym Testamencie inną wyrazistą postacią, w której historii można odnaleźć biblijne poczucie humoru, jest Jonasz, którego dzieje opisuje krótka księga z jego imieniem w nazwie. Wszystkie cztery rozdziały zdają się być w całości przeniknięte ironicznym spojrzeniem na upartego proroka. Najpierw ociąga się on z odpowiedzią na Boże wezwanie, by skłonić do

nawrócenia Niniwę, a później trzyma się sztywno swoich zawężonych wizji Boga, z których wyzwolenia bardzo potrzebuje.

Barwna opowieść o Jonaszu przebywającym przez trzy dni w brzuchu wielkiej ryby sama w sobie jest zabawna. Po tym, jak prorok zostaje już wypłuty na ląd i dociera wreszcie do celu wędrówki, wcale nie cieszy się z nawrócenia Niniwy – jest wręcz oburzony miłosierdziem Boga nad grzesznikami. Podczas drogi powrotnej zatrzymuje się, aby odpocząć. Wtedy Pan litościwie sprawia, że nad jego głową wyrasta krzew rycynusowy, „by cię był nad jego głową i żeby mu ująć jego gorczy” (Jon 4,6). Jonasz bardzo się nim cieszy, jednak już o świcie następnego dnia Bóg zsyła robaczka, aby uszkodził krzew tak, że ten w końcu usycha. Na dokładkę Bóg wzbudza gorący, wschodni



źródło:unsplash.com



wiatr, a słońce zaczyna prażyć tak, że Jonasz słabnie. Rozmowę Boga z krnąbrnym prorokiem w tej sytuacji (Jon 4, 8-11) można sparafrazować w następujący sposób:

- Lepiej dla mnie umrzeć, aniżeli tak żyć...

- Słusznie się oburzasz z powodu tego krzewu?

- Tak, uważam, że słusznie się oburzam! Śmiertelnie!

- Spójrz: ty się oburzasz z powodu jakiegoś krzewu, którego nie uprawiałeś i nie hodowałeś, który w nocy wyrósł i w nocy zginął. Uważasz jednak, że Ja nie powinienem mieć litości nad Niniwą, wielkim miastem z ponad stu dwudziestoma tysiącami ludzi?

Powyższy dialog pomiędzy Stwórcą a malkontenckim, zrzedliwym prorokiem przypomina

często nasze marudzenie i narzekanie na drobnostki, które są niczym wobec prawdziwie istotnych problemów. Pan Bóg patrzy wtedy na nas jak na grymaszące dzieci, a w takich sytuacjach każdy ojciec uśmiecha się nawet lekko pod nosem.

Ewangeliczne mrugnięcia okiem

Ewangelie ukazują nam Jezusa jako człowieka, który podlega zwyczajnym, ludzkim emocjom – bywa zmęczony, smutny, zdenerwowany, radosny. Nigdzie nie znajdziemy wzmianki, że się śmieje, ale że płacze – już tak, przykładowo nad Jerozolimą czy nad grobem swojego przyjaciela Łazarza. W wielu miejscach można natknąć opisy wzruszenia Chry-

stusa – gdy patrzy na kogoś miłującym wzrokiem, gdy bierze dzieci w objęcia i błogosławi je. W pewnym momencie mówi do swoich uczniów znamienne słowa: „To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna” (J 15,11). Źródło tej radości to sam Zbawiciel, a zakorzeniona jest ona w Bogu Ojcu, który smutek zamienia w radość, a płacz w wesele. Jednocześnie Jezus przestrzega przed „złym śmiechem”, o którym mówiliśmy na początku. Wypowiada „biada” skierowane do tych, którzy „się teraz śmiejecie, albowiem smuć się i płakać będziecie” (Łk 6, 25).

Gdy przyjrzymy się nauczaniu Jezusa – sposobowi, w jaki to robi – zauważymy, że nieraz korzysta On z figur retorycz-

nych takich jak przypowieści, przysłowia, hiperbole, kalambury, paradoksy, a czasem wprost z żartu czy ironii. Bardzo często uczniowie Jezusa pozostawieni są ze swoistą komiczną docinką biorącą się z ich niezdarności, nierozgarnięcia czy nieudolności, jak chociażby w scenie burzy na morzu (Mk 8, 14–21). Oto doświadczeni rybacy, którzy dopiero co byli świadkami cudownego nakarmienia przez Jezusa czterech tysięcy ludzi, zapominają do łodzi – miejsca swojej pracy – zabrać chleba (podczas gdy sami przed chwilą zebrali resztki ułomków do siedmiu koszów!).

Pan Jezus musi im często przypowieści powtarzać i tłumaczyć po kilka razy, bo ci są ciągle niepewni wszystkiego, nie do końca rozumieją, co się dzieje, właściwie pozostają bezradni wobec przestania ich Mistrza. I znów: gdy czytamy fragmenty Ewangelii w takim kluczu, to nie robimy tego po to, żeby śmiać się z niezdarnych Apostołów i ich nielotnych umysłów. Ostatecznie mamy nabrać dystansu do samych siebie, a także śmiać się ze swojej (prawdopodobnie o wiele większej) nieporadności.

Jezus proponuje swoim słuchaczom jako drogę do Królestwa Bożego dziecięcą prostotę, ufność i radość, ale nie infantylizm, założenie sobie kłapek na oczy czy szczeniackie wygłupy.

Przypowieści, którymi tłumaczy tę rzeczywistość, przeniknięte są niekiedy humorem. Jezus wzoruje je prawdopodobnie na żydowskich anegdotach i hebrajskich mądrościach – zawsze mają jakiś prosty i jednoznaczny cel dydaktyczny, a jednocześnie potrafią być lekkie w formie, zabawne. Przykład stanowi chociażby krótka opowiadka o zaaferowanej kobiecie (Łk 15, 8–10), która w emocjach wymiata wszystko spod łóżka i przedstawia domowe sprzęty tylko po to, żeby odnaleźć jedną zagubioną drachmę. Nie da się jej słuchać z kamienną twarzą, jeśli uruchomi się choć trochę wyobraźnię i zobaczy siebie lub kogoś nam bliskiego w podobnej sytuacji. Tak samo jest z ironicznymi porównaniami, kiedy to bogaty człowiek, który chce wejść do królestwa niebieskiego, dowiaduje się, że łatwiej niż jemu dostać się do Nieba, będzie wielbłądowi przejść przez... ucho igielne (Mt 19, 24).

Po co to wszystko?

Jednym z wyznaczników dojrzałości chrześcijańskiej jest reakcja na pojęcie „humoru Pana Boga”. Trzeba tu umieć zachować zdrowy rozsądek, umiar i umiejętność dostosowania środków wyrazu do okoliczności, by nie popaść w skrajności. Błędem jest zarówno stwierdzenie, że

Panu Bogu nie można przypisać poczucia humoru (mamy świadomość, iż jest to metafora), jak i to, że Objawienie możemy odczytać na sposób kabaretowy, prześmiewczy, przekraczający granicę dobrego smaku. Oczywiście jest, że nie będziemy elementów komizmu doszukiwać się na przykład w opisach Męki Pańskiej.

Zdrowy humor to nic złego, jeśli w efekcie uczy nas śmiania się z samych siebie oraz autoironicznego dystansu do swojej własnej „wielkości” – wtedy staje się on bliski cnocie pokory. Księgi Pisma Świętego to cała prawda o Bogu i człowieku, dlatego można (i warto!) szukać w nich śladów Bożego poczucia humoru, żeby umieć pielęgnować, a także zachować w sobie samym tę cechę. Komizm pomaga usłyszeć prawdę – ocenić naszą realną pozycję wobec Boga, a potem nasze ambicje, wyobrażenia i egoizm skonfrontować z Jego planami.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

Istnienie Boga



Patryk Kępczyński

Są pytania, które warto sobie zadawać. Czynią one nas ludźmi myślącymi. Jeżeli myślimy, to już zbliżamy się do wielu odpowiedzi.

W ciągu całego życia trudno nie zadawać pytań o istnienie Boga. Odkąd człowiek był zdolny do jakiegokolwiek myślenia, zastanawiał się nad tym. Niewątpliwie wiara w Boga lub w bogów na początku mogła wynikać z mało racjonalnych powodów, być może nawet irracjonalnych. Wraz z rozwojem myśli ludzkiej powody te stawały się jednak coraz bardziej racjonalne. Zgubna byłaby myśl, że to, co u podstaw mogło nie być czymś rozsądnym, w efekcie końcowym też jest nierozsądne. To przekreślałoby całkowicie myśl ludzką, a przede wszystkim jej wspaniały produkt, jakim jest nauka.

Nasza myśl ewoluuje wraz ze zdobytymi doświadczeniami, które możemy weryfikować dzięki rozwiniętemu rozumom. Bo przecież kiedy doświadczamy, że oddalający się pociąg zmniejsza się, to dzięki rozumowi możemy to zweryfikować, a także uznać, iż to tylko i wyłącznie złudzenie. Dlatego dochodząc ist-



źródło:pixabay.com

nienia Boga, nadrzędnego bytu, racji istnienia, wykorzystujemy rozum, by weryfikować nasze intuicje i doświadczenia. Tylko jeden błąd tkwiłby w naszym stosunku do tej kwestii – gdybyśmy uwierzyli w potęgę rozumu i nie traktowali go jako środka, który zagadnienie rozjaśnia, ale jako wyrocznie, która ostatecznie rozsądza sprawę.

Ludzkie poznanie i nauka

Człowiek doświadcza rzeczywistości, która go otacza, niejako ją „smakuje”. Następnie stara się ją opisać, co wychodzi całkiem dobrze, ale nie na

tyle dobrze, aby wszystko wyjaśnić.

Gdybyśmy rozmawiali o tym, co jest przyczyną wrzenia wody w czajniku, mielibyśmy zapewne kilka opcji, ale ograniczę je do dwóch. Woda w czajniku wrze, ponieważ ogień porusza cząstki wody. Gdybym jednak stwierdził, że woda wrze, bo chcę wypić herbatę, to przecież wcale bym się nie mylił. Oba wyjaśnienia są prawidłowe. Woda wrze, bo jej cząstki są poruszane przez ogień, ale wrze też dlatego, że ja chcę wypić herbatę i zapaliłem ogień pod czajnikiem. Intencje nie muszą sprzeciwiać się wyjaśnieniu fizycznemu. Sama fizyka

opisuje zdarzenie, ale nie wyklucza intencji.

Do czego miała nas prowadzić analogia z czajnikiem? Do tego, że poznanie naukowe, opis zjawiska w szerokich kategoriach, nie jest wystarczający. Nawet w obrębie samej nauki opis świata oraz dziejących się w nim zdarzeń jest niedoskonały i niewystarczający. W stwierdzeniu „nauka wyjaśnia” kryje się olbrzymia liczba możliwości, które są poza możliwościami naszego poznania. Nauka nigdy nie wyjaśnia więc wystarczająco. Dlatego też złudna jest myśl, że cokolwiek tłumaczymy w dostateczny sposób, a co za tym idzie, wyjaśniamy na tyle otaczający nas świat, że jesteśmy w stanie tylko na podstawie zjawisk powiedzieć, że Bóg istnieje bądź nie. Zjawiska dziejące się w świecie mogą nam dostarczać pewnych przesłanek, ale zjawiska jako suma wydarzeń, a nie jakiegoś zjawiska poszczególne.

Do czego to wszystko prowadzi? W dyskusji na temat istnienia Boga musimy uświadomić sobie, że umysł ludzki jest niedoskonały. Skoro nie potrafi opisać wyczerpująco świata, to o ile bardziej Bóg wymyka się ciasnym ramom jego myślenia? Ludzie tworzą liczne dowody za lub przeciw istnieniu Boga, ale zapominają przy tym o słabości ludzkiego umysłu. Warto szukać przesłanek, przyglądać się



światu, lecz nie możemy wierzyć w to, że znajdziemy ostateczną odpowiedź, to naiwne.

Jakże pójdziemy za Tobą, Chrystusie?

„Jakże pójdziemy za Tobą, Chrystusie, gdy Ty nie chodzisz naszymi drogami, a Twoje myśli tak różne od naszych, miłość tak inna od naszej miłości. Serca samotne błąkają się w mroku, szukając ścieżki wiodącej ku światłu, więc nie zostawiaj nas samych w ciemności, przyjdź nam z pomocą, pielgrzymom tej ziemi”.

Skoro ludzki umysł jest niedoskonały, to czy wynika z tego, że Boga nie da się poznać? Absolutnie nie. Czy jeżeli nie mogę spojrzeć na Słońce, to wyni-

ka to z tego, że nie mogę dostrzec promieni słonecznych? Nie. Boga nie dostrzegamy, bo On nas przekracza, ale widzimy promienie słoneczne, które przenikają cały Wszechświat, czyli Jego subtelny ślad. Nie też jedyny Jego znak, bo przecież jest nim cały świat. To jest klucz do tej dyskusji – skupić się na całym świecie, a nie na jakimś szczególnym jego aspekcie.

Największy z możliwych śladów Boga

Ten ślad dostrzegamy codziennie, bo przecież obserwujemy świat. Ten rzekomo bezcelowy świat, którym rządzi przypadek, po głębszym poznaniu można nazwać bezcelową celowością. Dlaczego tak? Ponieważ, choć rzeczywiście świa-



źródło:pixabay.com

tem rządzi przypadek, to przecież nie jest on niczym złym. Przypadek jedynie rzeźbi z gotowego już materiału – jest wpisany w siatkę zdarzeń, pozwala się urzeczywistniać zdarzeniom. Gdyby nie ten gotowy materiał, nic nie mogłoby istnieć. Tym materiałem jest „wpisana” w struktury naszego świata płodność. Owa płodność struktur umożliwia wzrost ich złożoności, harmonię między zjawiskami, które działają synchronicznie, mimo że nie są niczym połączone.

Świat jest racjonalny, poznawalny. Poznawalność świata to nie byle jaki fakt, lecz doniosły. Kosmos mógłby być chaosem zamkniętym na nasze dociekania – wiele czynników sprzyjało temu, by pozostał pustą przestrzenią ekspandujących galaktyk, a tak się jednak nie stało. Ponadto wiele warunków początkowych musiało zostać spełnionych, aby

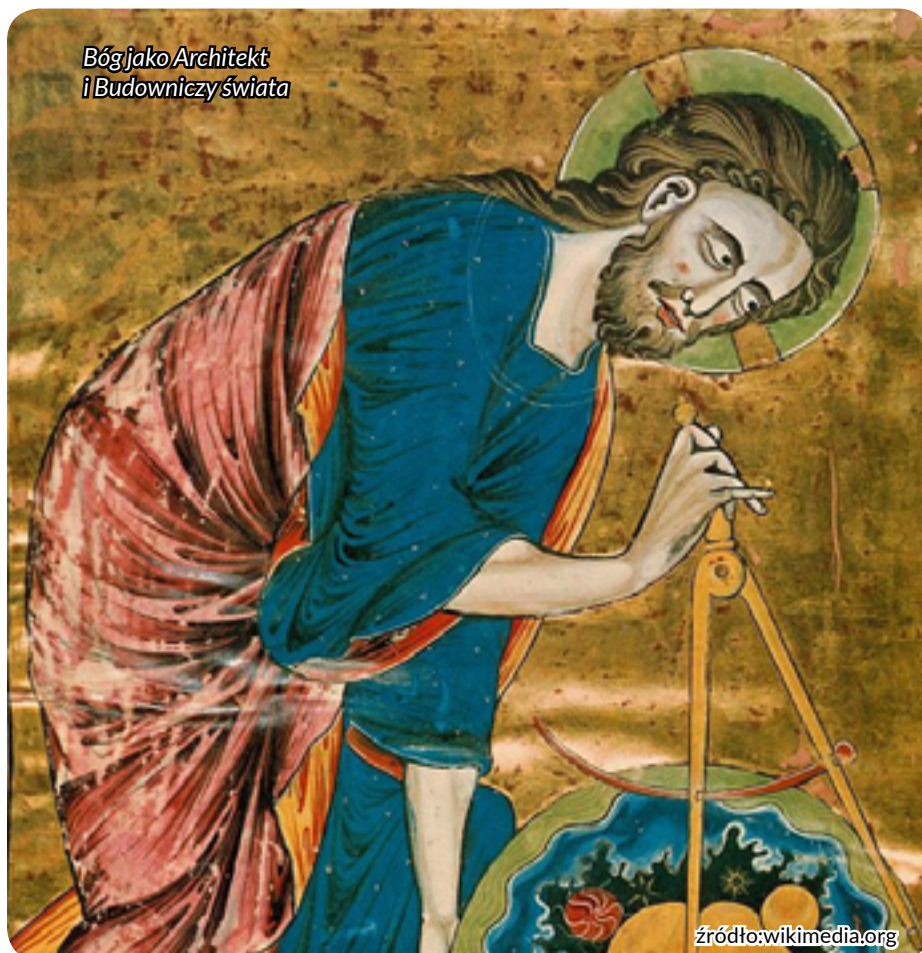
Wszechświat mógł nie tylko wytworzyć życie, ale w ogóle zaistnieć – ze względu szczególnie na ten fakt dochodzimy przyczyny powstania Wszechświata.

Transcendencja

Świat jest złożony z elementów niekoniecznych i przygodnych. Z przygodnych, ponieważ pewne aspekty świata mogły być i nie być – mogły być takie, a są takie. Niekonieczne, ponieważ żadne prawo nie warunkuje konkretnej wersji Wszechświata. Suma tych niekoniecznych i przygodnych elementów nie daje nam czegoś koniecznego i nieprzygodnego. Dlatego też pytając o rację istnienia dla naszego Wszechświata, musimy poszukiwać czegoś radykalnie innego niż natura, czegoś transcendentnego, co jest samo w sobie konieczne i nieprzy-

godne. W tym miejscu uderzamy w naturalizm, ponieważ, jak pisze prof. Jan Woleński w artykule W obronie naturalizmu: „Wszelako każdy naturalista powinien akceptować tezę negatywną, tj. odrzucającą istnienie takiego rodzaju rzeczywistości, którego poznanie wykracza poza tzw. naturalne środki poznawcze. W konsekwencji naturalista odrzuca rzeczywistość transcendentną jako wykraczającą poza świat naturalny, zarówno ontologicznie, epistemologicznie, jak i aksjologicznie. Jest to warunek minimalny dla każdej filozofii naturalistycznej”. Uważam, że założenia naturalizmu w wyżej przedstawionej wersji nie mogą być utrzymywane w świetle tego, o czym pisałem powyżej.

Jednak czy to prowadzi do istnienia Boga jako osoby, do Boga Abrahama, do Jezusa Chrystusa? Oczywiście, że nie. Ciężko chwycić Boga za rękę, ale to już dobry fundament w rozważaniach na temat istnienia Boga osobowego. Tim Radford (2010) w recenzji książki Stephena Hawkinga odniósł się do M-teorii, ale jego słowa mogą zacytować jako wyraz tego, co odkrywa przed nami świat: „[...] wywołuje zupełnie odmienne skojarzenia i przywołuje na myśl Pierwszego Poruszyciela, rodziciela, siłę stwórczą, która jest wszędzie i nigdzie. Nie



da się jej rozpoznać za pomocą instrumentów naukowych, ani zbadać za pomocą zrozumiałych przewidywań matematycznych, a mimo to w niej zawierają się wszystkie możliwości. Zawiera w sobie wszechobecność, wszechwiedzę i wszechmoc, i jest ogromną tajemnicą. Czy Kogoś nam nie przypomina?”

Prof. John Polkinghorne w swojej książce *Nauka i Stworzenie*, pisze: „Wzmaga się poczucie – zwłaszcza wśród osób studiujących fizykę teoretyczną – że świat kryje w sobie więcej niż to, co widoczne dla oczu. Nauka zdaje się formułować pytania, które sięgają poza nią, na które nie jest sama w stanie znaleźć odpowiedzi. Stają one

przed nami, gdy dostrzegamy możliwości tkwiące w strukturze świata, w splocie jego przenikających się nawzajem elementów, wreszcie w samej jego poznawalności, która czyni świat dostępnym naszym badaniom”.

Racja istnienia

Ustaliliśmy, że racja istnienia jest w swojej naturze konieczna i nieprzygodna. Jaka jeszcze? Przede wszystkim, jeżeli chcielibyśmy z praw fizyki zrobić rację istnienia, jak robi to wielu, to „stety” lub niestety, jest to niemożliwe. Prawa te same w sobie są strukturami matematycznymi, a czy matematyka jest siłą stwórczą? Czy 2+2 daje

nam coś materialnego? Prawo Newtona samo w sobie nie jest w stanie poruszyć kamienia, ale kiedy to ja nim rzucę, wtedy zaczyna działać. Przekazuję wtedy informację. Do działania jest potrzebna informacja. Pytamy teraz: „Skąd była informacja?”. Czy odpowiedzią może być ten tekst: „Na początku było Słowo”? Być może. Logos jest fundamentem istnienia, Słowem, które powołało do istnienia wszelkie istnienie. Logos odpowiada na pytanie Leibniza: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?”.

Wnioski

Świat nie jest dla siebie racją istnienia. Nie jest ona z tego świata, ale pozostaje czymś z innego świata – czymś wszechobecnym, wszechwiedzącym, wszechmocnym, niematerialnym, wiecznym, a czy jest Bogiem chrześcijan? Wierzę, że tak. Nie dlatego, że to wygodne, ale dlatego, że potrafię to w pewien sposób uzasadnić, o czym w przyszłości być może napiszę w innym artykule.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

Czy katolik to frajer?



Piotr Sudół

„Jesteś niewiele warty”. „Potrzebujesz religii jako ucieczki”. „Idź do swojego kościółka się pomodlić”. „Miłosierdzie to przejaw słabości”. Tego typu sformułowania może usłyszeć osoba wierząca. Słabość nie jest rzadkim zarzutem skierowanym w stronę chrześcijan. Bardzo możliwe, że spotykamy się z tym w naszym życiu dość często. Czy jednak jest tak faktycznie? Czy osoby żyjące wiarą są po prostu słabe? Czy może odwrotnie – są niesamowicie silne?

Słabiuteński katolik

Dość stereotypowym obrazem katolika jest osoba cicha, na uboczu, niekonfliktowa, nie budząca większego respektu. Taki obraz może łatwo przywołać na myśl słabość. Nie zawsze jednak bycie w cieniu jest oznaką słabości. Wbrew pozorom to właśnie pokora jest najbardziej wymagającą cnotą, do której potrzeba gigantycznego wysiłku wewnętrznego. Czy ktokolwiek z nas łatwo przyznaje się do błędu? Albo akceptuje swoją gorszą pozycję czy stanowisko? Nie jest łatwo być kimś wielkim lub wal-



źródło: pixabay.com

czyć o tę wielkość, ale nie jest też rzeczą prostą bycie jednym z „maluczkich”. Czasem zahamowanie pełnej pychy walki o swoje wymaga wielkiej siły duchowej. Bywa i tak, że jako chrześcijanie jesteśmy prześladowani. Cierpliwość i wytrwałość w tym również nie jest prosta i można ją zachować tylko przy pomocy łaski Bożej. W Ewangelii czytamy: „Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić” (J 15,5). Bez łaski Bożej nasze wysiłki w wierze są raczej bezowocne. Możemy za-

tem powiedzieć, że bez pomocy Boga nie damy sobie rady. Jako ludzie zatem jesteśmy słabi. Każdy z nas. Ważne w naszej wierze jest uświadomienie sobie własnej marności wobec wielkości Boga. Świadomość własnej słabości pięknymi słowami opisał św. Augustyn w swoich *Wyznaniach* (1.6): „Ale chociaż jestem tylko prochem i popiołem, pozwól mi przemówić do miłosierdzia Twego”. Zawarto tu bardzo istotne dla chrześcijanina przesłanie: jesteśmy słabi i grzeszni, więc ratunku możemy szukać w miłosierdziu Bożym.

Większość świętych posiadała właśnie tę świadomość własnej marności, która jest bardzo ważna w życiu duchowym. O naszej ułomności pisał również św. Jan Apostoł: „Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy” (1J 1,8). Można zatem powiedzieć, że jako chrześcijanie jesteśmy słabi. Ale nie na sposób wyjątkowy. Każdy człowiek jest po prostu jako grzesznik słaby ze swoimi grzechami i jest słaby wobec zła, które go otacza. Nie leczy tego postawa obojętności wobec niegodziwości ani pochwalania tego, co w nas niewłaściwe. Zło ciągle pozostaje złem. Ale czy na tym się kończy opowieść o burzliwej duszy człowieka? Zdecydowanie nie.

Chrześcijanin i jego siła

Nie można jednak popadać w pesymizm. To, że jako ludzie jesteśmy słabi, nie przesądza jeszcze o wszystkim. Czy istniałoby tylu świętych, gdyby nasza kondycja duchowa kończyła się na słabości? Oczywiście, że nie. Chrystus będąc wśród ludzi, powiedział: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11,28). To właśnie w Jezusie odnajdujemy siłę pośród swoich słabości. Sam Chrystus również doświadczył naszych ludzkich problemów:



źródło:pixabay.com

cierpienia, odrzucenia, niezrozumienia, a w Ogrójcu nawet strachu. Skoro sam Bóg dzielił ludzkie troski z nami, nie możemy wstydić się swoich ułomności. Święty Paweł Apostoł pisze: „Lecz [Pan] mi powiedział: »Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali«. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa” (2Kor 12,9). Apostoł był świadomy swojej ułomnej natury ludzkiej. Jednak właśnie przez to tym bardziej ufał Bogu. Piękne w człowieku jest to, jak potrafi być przemieniany przez łaskę Bożą, która zwalcza jego słabości. Nie popadając w skrajność, możemy powiedzieć, że jesteśmy jednocześnie słabi i mocni. Przykładne okazywanie miłosierdzia i wybaczenie, które w oczach świata może wydawać się czymś godnym pogardy i przeznaczonym dla ludzi, którym brak stanowczości i siły, paradoksalnie wymaga wielkiego zaparcia się samego siebie i we-

wewnętrznej siły, aby przewyciężyć w sobie żal do drugiej osoby, chęć zemsty, zazdrość. Owszem, ze swoimi grzechami możemy być słabi, ale możemy jednocześnie powiedzieć za św. Pawłem: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13). Katolik nie jest w żaden sposób gorszy od innych ludzi – każdy z nas przecież grzeszy. Nie mamy jednak prawa w pysze wynosić się ponad bliźnich, ponieważ na łaskę Bożą nie da się zasłużyć. Mimo wszystko powinniśmy czerpać naszą siłę z nieskończonego Źródła.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*

Zbawienne cierpienie



Mateusz Bednarek

Kiedy Najświętsza Maryja Panna objawiła się św. Maksymilianowi Kolbemu, dała mu do wyboru jedną z dwóch koron: cierniową lub złotą, cierpienie lub zbawienie. Zakonnik wybrał obie. Przykład franciszkanina wskazuje na naśladowanie drogi, którą podążał Jezus. Chrystus cierpiał na krzyżu, by dać światu zbawienie, gdyż droga do niedzielnego poranka Zmartwychwstania wiedzie przez trudy Wielkiego Piątku. Zapraszam cię, byśmy wspólnie przeszli kawałek trasy i przekonali się, jak zbawienne okazało się dobrowolne cierpienie, umartwienie i pokuta w życiu świętych, czyli osób, które mogą być dla nas drogowskazem.

Tegoroczny kwiecień jest dla katolika najważniejszym miesiącem, bowiem w tym okresie przypada Uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego. W kwietniu obchodzimy także rocznicę zbrodni katyńskiej oraz wspominamy duchownych, którzy cierpieli w trakcie II wojny światowej. Przyjrzyjmy się różnym stopniom wyrzeczeń, by zobaczyć drogę pełną cierni



Poszczący asceci,
terakotowy panel
ścienny z Kaszmiru, V
wiek, Muzeum Linden
w Stuttgarcie

źródło: wikimedia.org

i ostów, która ostatecznie prowadzi do wolności.

Przez post do nieba

Do pamiętki pokonania grzechu, śmierci i szatana przez Chrystusa przygotowujemy się przez czas Wielkiego Postu. Przed reformą liturgiczną z roku 1970 okres ten poprzedzało tzw. przedpoście. Czas ten,

ustanowiony w VII w. przez papieża Grzegorza Wielkiego, miał przygotować duszę na pamiętkę przebywania Jezusa przez 40 dni na pustyni.

Przedpoście nazwano okresem siedemdziesiątnicy i składa się na nie trzy tygodnie, a właściwie trzy niedziele poprzedzające Wielki Post. Przez ten czas przygotowywano się do postu, stopniowo narzucając so-

bie pokutne postanowienia.

Dobrowolna wytrwałość w umartwianiu duszy i ciała pomaga zobaczyć i zrozumieć sens pokutowania w intencji bliźniego. Sztandarowym, ale i radykalnym przykładem ofiarowania Panu Bogu cierpienie za bliźniego jest ofiara z własnego życia. Złożył ją św. Maksymilian Maria Kolbe.

Rycerze Boga

Dni 17 lutego 1941 roku został aresztowany i był przestuchiwany na Pawiaku, a 28 maja trafił do niemieckiego obozu zagłady Auschwitz. Ojciec Kolbe dobrowolnie wybrał śmierć głodową w zamian za życie współwięźnia, Franciszka Gajowniczka. Zakonnik poszedł do bunkra głodowego, jednak zginął od zastrzyku fenolu, którym uśmiercił go kierownik izby chorych. Został spalony w obozowym krematorium. Warto wspomnieć, iż Franciszek Gajowniczek został przeniesiony w 1944 roku do obozu Sachsenhausen, gdzie oczekiwał wyzwolenia. Został więc prawdziwie uratowany przez Boga Najwyższego poprzez poświęcenie św. Maksymiliana. Mimo iż ojciec Kolbe odszedł do Domu Ojca, zostawił po sobie nieśmiertelne wartości.

Przykład świętego Maksymiliana wskazuje na czynne męczeństwo. Mówił o tym św.

Jan Paweł II. 10 października 1982 roku, w dniu kanonizacji Rajmunda Kolbego, podczas homilii powiedział: „Maksymilian nie »umarł« – ale »oddał życie«... za brata” – to ogromna różnica, bowiem widać tu przepaść między dobrowolnością a przymusem. Przy tej okazji warto również wspomnieć bł. ks. Jerzego Popiełuszkę – męczennika za prawdę. Patron Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, którym został ogłoszony w 2014 r., został brutalnie zamordowany i wrzucony do rzeki. „Prawda dużo kosztuje, lecz wyzwala” – powiedział kiedyś kapłan i zdaje się, że znał wartość i wagę tych słów. Za wierność Chrystusowi

zapłacił najwyższą cenę, ale był na to gotowy.

Ksiądz Popiełuszko urodził się już po wojnie, jednak jego ofiara ilustruje potęgę dobrowolnego poświęcenia własnego życia za prawdę. Ksiądz Jerzy mógł również uciec, zostać konformistą i milcząco zgadzać się na działania komunistów. Jego przykład ukazuje zwycięstwo miłości nad lękiem, bowiem cierpienie, jeśli jest przeżywane z Chrystusem i dla Niego, warte jest wysiłku i trudu. Takie cierpienie prowadzi do wolności, do Zmartwychwstania.

Wolność znaczy suwerenność

Jak już zostało wspomniane, w kwietniu obchodzimy kolejne rocznice zbrodni katyńskiej i pamiątki Męczeństwa Duchowieństwa Polskiego w trakcie II wojny światowej. Warto tu przytoczyć nazwisko jezuita, ks. Władysława Gurgacza. Trzy lata po święceniach kapłańskich został kapłanem szpitalnym w Gorlicach (1945-1947), a potem w Krynicy (1947-1948). Właśnie w Krynicy kapłan związał się z oddziałem Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej. 2 lipca 1949 r. UB aresztowało go i został skazany na karę śmierci w pokazowym procesie. Wyrok przez rozstrzelanie wykonano 14 września tego samego roku.



Ks. Jerzy Popiełuszko



źródło:wikimedia.org

Zrehabilitowano go dopiero w 1992 r. W listopadzie 2008 r. został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Ksiądz Gurgacz był jednym z kapłanów, którzy nie wystraszyli się terronu komunistycznego i walczyli z okupantem już po zakończeniu działań zbrojnych w ramach II wojny światowej. Jezuita walczył o wolną Polskę, wierząc w możliwość odzyskania realnej suwerenności.

Nie każdy wezwany jest do poświęcenia życia za brata czy siostrę, być może dlatego, iż nie każdy byłby w stanie dokonać tak heroicznego czynu. W codziennym życiu możemy jednak zadośćuczynić Bogu za grzechy i poprzez pokutne praktyki

wstawiać się za bliźnimi. O potrzebie nawracania się i pokutowania mówiła Najświętsza Maryja Panna w trakcie objawień w Fatimie. Dobrowolny post, modlitwa czy jałmużna mogą przyczynić się do uświęcenia i ujrzenia drogi, która prowadzi od przymusu i poczucia bezsensownego poświęcania się do ochotnego pokutowania. Wiara bez czynków jest martwa. Jeżeli nie zaczniemy praktykować pokuty, może do końca życia będziemy uważać ją za coś dodatkowego i niekoniecznie potrzebnego do zbawienia.

Przyjrzyjmy się kwestii dobrowolnej pokuty w świetle słów św. Jana Pawła II. W napisanej przez papieża sztuce *Brat naszego Boga* główny bohater, św. brat Albert, na końcu wypo-

wiada znamienne słowa – „wybrałem większą wolność”. Zwracam uwagę na przestrzeń, której poświęcił się Adam Chmielowski. Zdecydował oddać swoje życie na służbę ubogim – założył zakon albertynów, zrezygnowawszy z dotychczasowego życia, w tym z kariery malarza. Przykład św. Brata Alberta również łączy się z przypadkami św. Maksymiliana czy bł. ks. Popiełuszki – wszyscy oni dokonali wyboru. Ojciec Kolbe oddał dobrowolnie życie za współwięźnia, ks. Jerzy trwał w prawdzie mimo gróźb ze strony ówczesnych władz, a św. brat Albert „wybrał większą wolność”.

Usłyszałem kiedyś takie słowa: „przez wierność do jakości”. Muszę przyznać, że zrobiły na mnie wrażenie. Jeśli czegoś nie chcę, nie „czuję” jakiejś przestrzeni, praktyki pokutnej, to czy to oznacza, że mam z tego zrezygnować? Może warto rozemnieć, czy te słowa nie odnoszą się w jakiejś mierze do mojej obecnej sytuacji. Niech czas Wielkiego Postu i Zmartwychwstania Pańskiego będą czasem wyboru większej wolności.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: wikimedia.org

Święty, który umywa ręce



Jan Borowski

„Człowiek o wyjątkowo nieugiętym usposobieniu, nadzwyczaj okrutny i uparty” – w tak ostrych słowach żydowski kronikarz, Filon z Aleksandrii, streszcza osobowość Piłata. Popularności nie przysporzyło mu z pewnością krwawe stłumienie powstania w Judei ani wykorzystanie skarbcza świątynnego do rozbudowy miejskiej infrastruktury. Jednak Ewangelie przedstawiają go w odmiennym świetle. Przychylna Piłatowi interpretacja tekstów biblijnych, zwłaszcza Ewangelii wg św. Jana, nie tylko umniejsza jego winę za śmierć Jezusa, lecz nawet czyni zeń męczennika i świętego.

Jak to w ogóle możliwe, że człowiek, który wydał na Chrystusa wyrok skazujący, nie jest w chrześcijaństwie przedstawiany jako postać jednoznacznie negatywna? W Kościele spotykamy się wręcz z tradycją usprawiedliwiania Poncjusza

Piłata. Być może drogę do takiego jego postrzegania otworzyły ostatnie słowa Jezusa wypowiedziane podczas przesłuchania: „Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie”

(J 19, 11). W każdym razie faktem jest, iż w oczach chrześcijan dusza rzymskiego namiestnika Judei nie została jednoznacznie potępiona. Biblia nie wzmiankuje, co stało się z nim po ukrzyżowaniu Chrystusa. Brak jest, jak ma to miejsce w przypadku

Judasza, pewnej przestanki pozwalającej twierdzić, że Piłat się nie nawrócił i nie odpokutował swoich win.

Po śmierci Chrystusa

Skąpych informacji dostarczają również źródła historyczne. Ostatnią potwierdzoną przez niezależnych kronikarzy wzmianką jest masakra Samarytan na wzgórzu Garizim. Nakłaniani przez oszustów, którzy twierdzili, iż na świętym miejscu odnaleziono przedmioty pozostawione tam przez samego Mojżesza, Samarytanie zebrali się w wielkiej liczbie i wyruszyli z pielgrzymką do sanktuarium. Piłat jednak postanowił uniemożliwić im osiągnięcie celu i na drodze wiodącej ku wzgórzu rozmieścił oddziały piechurów i jeźdźców. Doszło do walki, wielu pielgrzymów zabito, części udało się zbiec. Skargi Samarytan doszły jednak do uszu legata Syrii, który, oburzony wieściami o zajściu, nakazał Piłatowi udać się do Rzymu przed oblicze cesarza. Zanim jednak dotarł on do stolicy Imperium, cesarz Tyberiusz zmarł.

W tym miejscu trop niestety się urywa. Z pewnością wiadomo, że od roku 36 funkcję prefekta pełnił Marcellus. Wyzaczył go wspomniany już wcześniej legat Syrii na czas



Poncjusz Piłat: Cóż to jest prawda?, aut. Nikołaj Gay, 1890.

źródło: wikimedia.org

podróży Piłata do Rzymu. Ten jednak nie powrócił i nie podjął swego stanowiska. Już rok później nowy cesarz, Kaligula, mianował na nie kogoś innego. Wątki historyczne urywają się. Otwiera się więc bardzo szerokie pole do domysłów, co mogło stać się z Poncjuszem Piłatem.

Zaginiony Piłat

Jak nietrudno się domyślić, na temat dalszych losów Piłata powstało wiele hipotez. Średniowieczny teolog Piotr Comestor przypuszczał, że zmarł on na wygnaniu w Lyonie. Euzebiusz z Cezarei, biskup i autor



Jezus przed Piłatem.
Pierwsza rozmowa, aut.
James Tissot.

źródło:wikimedia.org

Historii Kościelnej, domniemywał, iż za panowania Kaliguli dotknęło go tak wiele nieszczęść, że był on zmuszony popełnić samobójstwo. Powoływał się przy tym na pisarzy greckich i ich datowania. Wątek samobójstwa rozwija dzieło *Mors Pilati*, według którego Tyberiusz ciężko zachorował, a słysząc o czynach Jezusa z Nazaretu, posłał swego sługę, aby ten sprowadził Mistrza. Chrystus został już jednak ukrzyżowany, a Piłat, w obawie przed gniewem cesarza, prosił wysłannika o zwłokę. Niefortunnie doszło do spotkania ce-

sarskiego sługi ze świętą Weroniką, która wyjawiała mu prawdę i przekazała chustę z odbitym wizerunkiem Chrystusa.

Chusta rzeczywiście uleczyła Tyberiusza z jego choroby, lecz dowiedziawszy się o ukrzyżowaniu, nakazał on aresztowanie Piłata. Gdy ten został sprowadzony do Rzymu, miał na sobie bezszwową tunikę Jezusa i dzięki mocy relikwii mógł unikać niebezpieczeństwa. Wkrótce jednak pozbawiono go tuniki, a Piłat, wiedząc, jak okrutna kara czeka go z rąk cesarza, postanowił go uprzedzić i zabić się sam.

Jego ciało wrzucone do Tybru zostało porwane przez burzę wywołaną za sprawą demonów. Dopadły one trupa, który miotany falami przez czeluście piekieł miał ponownie wypłynąć na powierzchnię ziemi na wody Rodanu, w okolicy miasteczka Vienne we Francji. W miejscowości tej do dziś można zresztą oglądać rzekomy Grobowiec Piłata.

Nawrócenie

Nie brak również autorów, którzy Piłata najchętniej widzieliby w roli świętego. Histo-

rię jego życia pragnęli przekuć w opowieść dydaktyczną. Gdyby namiestnik wyznał wiarę w zmartwychwstałego Chrystusa, stanowiłby przecież doskonałą przeciwwagę dla postaci Judasza. Nawrócony sędzia Jezusa wobec apostoła-zdrajcy. Pierwszy zapragnął życia zgodnego z Ewangelią i odpokutowania swych win, drugi, odrzuciwszy Bożą miłość, „poszedł i powiesił się”. Czyż kontrast ten nie podkreśla wspaniałe prawdy o ogromie Bożego miłosierdzia i możliwości nawrócenia każdego grzesznika?

Motyw nawrócenia Piłata przewija się w bardzo wielu apokryfach. Istnieje cały cykl pism zwany *Aktami* bądź *Cyklem Piłata*. Datuje się go na IV wiek po Chrystusie. Rzekomo pisma owe miały być tłumaczeniem kronik namiestnika, jednak badania historyczne wykluczają taką możliwość. Pierwsza część zbioru nawiązuje do Męki Jezusa, zawiera jej obrazowe opisy i wiele pozaewangelicznych szczegółów, w drugiej autor skupił się na okolicznościach Zmartwychwstania.

Martyrium Pilati

Na szczególną uwagę zasługuje jednakże dokument zatytułowany *Martyrium Pilati*. Czas jego powstania nie jest jasno określony. Najstarszy

zachowany rękopis pochodzi z ok. 1362 r. i spisany jest w języku etiopskim. Badacze sugerują jednak, że mógł zostać przetłumaczony z wcześniejszej wersji arabskiej, a ta z kolei z języka koptyjskiego. Biorąc to pod uwagę, można posunąć się

do twierdzenia, że *Martyrium...*, tak jak inne części cyklu, powstało około V wieku.

Zgodnie z treścią utworu Piłat oraz jego żona, Prokula, nawrócili się, gdyż byli bezpośrednimi świadkami zmartwychwstania i odtąd oboje prowa-



Jezus przed Piłatem.
Druga rozmowa, aut.
James Tissot.

źródło:wikimedia.org

dzili święte życie. Żydom nie spodobał się taki obrót sprawy, dlatego też postanowili namówić Barabasza (który miał być szwagrem Judasza), aby zgładził Piłata i jego żonę. Spisek nie powiódł się. Namiestnik został uprzedzony, a Barabasz schwytany i ukrzyżowany głową w dół. Żydzi jednak, nie ustając w swoich staraniach o śmierć Poncjusza, wysłali swoją delegację do Rzymu. Piłat z kolei posłał cesarzowi list z wyjaśnieniami i świadectwem o Chrystusie. Spór rozsądzić miał rzymski urzędnik, Petroniusz, który zdecydował się uwięzić namiestnika.

Jak Piłat stał się męczennikiem

Przebywając w więzieniu Piłat miał sen. Otrzymał prorocstwo od Zbawiciela, który zapowiedział mu podwójne męczeństwo. Istotnie, nazajutrz Piłat i Prokula zostali ukrzyżowani. Miał jednak miejsce cud. Nad ich głowami pojawiły się dwie zstępujące z nieba korony, które zatrzymały się nad głowami skazanych. Piłat zaczął się modlić, aby Pan przyjął jego ofiarę, jednak służy na widok tych niezwykłych wydarzeń zdjęli go z krzyża. Petroniusz zameldował o tym cesarzowi.

Tymczasem w Rzymie zmarł cesarski syn. Za namową żony, pełen nadziei Tyberiusz wysłał

ciało chłopca do Jerozolimy, aby złożyć je w Grobie Pańskim. Zgodnie z oczekiwaniami, po czterech dniach chłopiec został wskrzeszony. Dzięki temu wydarzeniu Tyberiusz i jego żona nawrócili się na wiarę chrześcijańską, a Piłat niesłusznie został obarczony wyłączną winą za śmierć Chrystusa. Cesarz skazał go na ukrzyżowanie i ścięcie głowy. Piłat po modlitwie umarł jako męczennik. Jego ciało zostało z powrotem zabrane do Jerozolimy i pochowane w pobliżu grobu Chrystusa.

Święty

Na podstawie tej tradycji Piłat uchodzi za świętego w Kościele koptyjskim. Inne prawosławne autokefalie czczą jedynie Prokulę jako tę, która namawiała Poncjusza, aby odstąpił od skazywania Chrystusa na śmierć. Czy to nie poruszająca historia? Od skazania Chrystusa na śmierć dojść można do chwały w niebie. Tak wielkie jest Boże miłosierdzie, jeżeli tylko człowiek chce je przyjąć. Oczywiście Kościół katolicki wstrzymuje się od sądu na temat świętości Piłata. Na te historie powinno się zatem patrzeć jako na pewien wzorzec. Nie należy więc skupiać się na osobie Piłata, lecz na drodze, którą mógłby on przejść.

Mógłby, lecz czy przeszedł

– nie jest wcale takie pewne. Wiarygodność apokryfów z Cyklu Piłata to kwestia nadwyzczaj wątpliwa. Nawet gdyby Piłat faktycznie się nawrócił po Zmartwychwstaniu, z pewnością nie mógł zakończyć życia na krzyżu. Był bowiem obywatelem rzymskim, a więc nie można było zastosować względem niego tej kary. Rzymianina należało ścinać, jak postąpiono na przykład ze św. Pawłem. Nie ma jednak przeciwwskazań, aby historii te i im podobne traktować jako wyrażenie istotnych prawd wiary. To właśnie na tym zależało autorom apokryfów, a nie na prawdzie historycznej.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:pixabay.com

Mowa nienawiści



Dorota Ślęczek

Jakiś czas temu na antenie Telewizji Trwam Stanisław Michalkiewicz trafnie skomentował zjawisko mowy nienawiści, która w dzisiejszych czasach ma niewyobrażalną siłę rażenia. Powiedział: „Kto jest nienawistnikiem? To proste, jak budowa cepa: każdy, kto się z nami nie zgadza”.

O mowie nienawiści mówi się coraz częściej. Każdego dnia jesteśmy nią przesiąknięci, gdyż poruszamy się po Internecie, mediach, przestrzeni publicznej. Mamy również kontakt z otoczeniem, w którym nienawiść przejawia się chociażby w graffiti czy napisach na murach. Według najnowszego sondażu, przeprowadzonego w styczniu 2019 roku przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych, prawie 90% badanych uważa „mowę nienawiści” za istotny problem społeczny. Choć problem ten staje się przyczyną ochłodze-

nia relacji międzyludzkich, to jednak jego ofiarami padają przede wszystkim osoby, które doświadczają dyskryminacji ze względu na cechy, które posiadły w sposób naturalny, a nie z wyboru (Nijakowski, 2008).

Andrzej Macura w artykule *W nienawiść miłością*, napisanym dla portalu *wiara.pl*, zastanawia się, czym tak naprawdę jest „mowa nienawiści”. Twierdzi, że w rzeczywistości nie jest ona słownym wyrażaniem nienawiści, wzywaniem do niej czy podżeganiem do wyrządzenia krzywdy. Jako przykład poda-

je sytuację, w której szeroko akceptowaną prawdę uznajemy za niesłuszną, na przykład: „Stwierdzenie, że nienarodzony jest człowiekiem, że małżeństwo to związek mężczyzny i kobiety albo że praktykowanie homoseksualizmu jest grzechem. Jakże bołą takie stwierdzenia tych, którzy myślą inaczej! – krzyczą zwolennicy tolerancji – Jak można tak ludzi krzywdzić!”.

Tu pojawia się istota naszego problemu. Często nie potrafimy znieść inności bliźnich, która rodzi w naszych sercach nienawiść. Wspomniany we wprowa-

dzeniu do artykułu Stanisław Michalkiewicz wyjaśnia, że nienawistnikiem jest zwykle ten, kto się z nami nie zgadza. Owszem. Bardzo często obserwuję takie sytuacje, kiedy publicznie deklaruje się walkę z „mową nienawiści”, a w sytuacji, gdy jednostki lub grupy społeczne wygłaszają poglądy niezgodne z „właściwymi” przekonaniem – niezależnie od ich dziedziny – kieruje się ku nim obraźliwe epitet.

Oczywiście, każdy ma prawo własnego zdanie, ale powinno się je wyrażać z głową, bo słowa potrafią zranić głębiej niż ostrze. Każdy człowiek ma inną wrażliwość, więc nie wszyscy obdarzeni są na tyle odporną psychiką, aby nie brać do serca tego, co mówią inni. Nieraz nie zdajemy sobie sprawy z tego, że „mowa nienawiści” jest opisana w kodeksie karnym formą przestępstwa, za którą możemy trafić za kratki.

W poprzednim akapicie użyłam słowa „zwalczać”, które ściśle wiąże się z mową nienawiści. Na wielu stronach internetowych możemy znaleźć poradniki, jak „zwalczać mowę nienawiści”. Andrzej Macura zadaje pytanie, co to właściwie znaczy „zwalczać”. Przykładowo możemy zwalczać szkodniki, jak karaluchy, które załęgły się w naszym domu, czy szczury, które założyły sobie siedlisko

w piwnicy. W słowniku PWN czasownik „zwalczać” został opisany następująco: „wystąpić przeciwko komuś lub czemuś” lub „przewyciężyć coś długotrwałym działaniem”.

Macura zwraca nam uwagę na to, że „używamy tego słowa, gdy chodzi o eliminowanie niezależnego od człowieka zła. Gdy mówimy o czymś dotyczącym ludzi, raczej wzdramy się przed jego zastosowaniem. Autor przypomina, że nie „zwalcza się” plagi pijanych kierowców, narkomanów, złodziei, prostytutek, czy skorumpowanych urzędników. Zamiast tego „ukróca się” ich zachowanie, „karze się winnych”, „prowadzi działania przeciw nim”, a „przeciwdziała się” konkretnym zjawiskom. Według Macury słowa „zwalczać” w odniesieniu do czynów ludz-

kich używamy rzadko i raczej wyjątkowo. W wypadku „mowy nienawiści” nie próbuje się jednak „przeciwdziałać”, „edukować”, „rozbrajać minę nienawiści”, ale się zwyczajnie „zwalcza”.

Wiele o mowie nienawiści przekazał nam papież Franciszek. W jednym z wywiadów dla szwedzkiego czasopisma „Signum” uznał mowę nienawiści za formę psychologicznego i nieuchwytnego terroryzmu. Stwierdził, że „wszyscy w sobie nosimy zdolność do oczerniania innych. To wada, której możemy się pozbyć tylko poprzez głęboką zmianę usposobienia, wewnętrzną przemianę. Problem z tą wadą jest taki, że my wszyscy, każdy człowiek ma potencjał, by stać się terrorystą chociażby tylko poprzez język, jakiego używa. Nie mówię tutaj





o walkach, które się toczą przy otwartej kurtynie, jak wojny. Mówię o skrytej i przebiegłej formie terroryzmu, używającej słów jak pocisków, które wybuchają i powodują wielkie spustoszenie w życiu ludzi. Ta forma przestępczości to spuścizna grzechu pierworodnego. To sposób zagarniania przestrzeni dla siebie poprzez niszczenie drugiego”.

Warto też wspomnieć tym kontekście o świętym Janie Bosko, genialnym pedagogu młodzieży i głównym założycielu zgromadzenia salezjańskiego. „Ojciec i Nauczyciel Młodzieży” – jak przez wielu jest nazywany – nie mieszał się nigdy w sprawy polityczne. W XIX wieku odgrywały one bardzo dużą rolę w społeczeństwie ze względu na włoskie dążenia do tego, by zjednoczyć swój kraj. W tej kwestii święty Jan Bosko pozostał bez-

stronny. Wypowiadał się jedynie na tematy polityczne dotyczące Kościoła, wartości oraz wiary chrześcijańskiej. Powtarzał często: „Nie trzymam z nikim, moją polityką jest Ojciec nasz. Kapłan należy do wszystkich”. Swoją postawą pokazuje nam, że ponad wszelkimi podziałami jest miłość przełamująca bariery, które sami stworzyliśmy.

I właśnie w tym miejscu dochodzimy do słowa, którym jest „miłość”. Podczas Światowych Dni Młodzieży w Panamie papież Franciszek wzywał dzisiejszą młodzież „do miłości, która prawdziwie jednoczy i przez to nie jest do przemilczenia. Wezwał do miłości, która także dziś jest ciężkim tematem”. Święty Jan Bosko nie chciał mieszać się w sprawy polityczne, przesiąknięte jadem nienawiści. Pragnął jedynie pomagać biednym chłopcom poprzez budowanie

wzajemnej relacji pomiędzy człowiekiem a człowiekiem i człowiekiem a Bogiem. Podkreślał w utworzonym przez siebie systemie prewencyjnym opartym na rozumie, religii i miłości, że wychowawca powinien być przyjacielem dla swoich wychowanków, a nie kimś, kto stale nadzoruje i wymierza kary. Biskup Tadeusz Rakoczy podczas homilii wygłoszonej 31 stycznia 2013 roku w Oświęcimiu powiedział, iż „św. Jan Bosko skutecznie wychowywał, bo był pełen miłości”.

Na zakończenie wróćmy jeszcze do Stanisława Michalikiewicza, który mówił, że „gdybyśmy tak wyeliminowali ze świata nienawiść, to od razu stałby się on lepszy, a w tej sytuacji wybór jest oczywisty: żadnego »podkręcania«, tylko dobro, czyli nieubłagana walka z nienawiścią”. Dlatego rolę wierzących w Jezusa Chrystusa jest bycie wierzącymi w konsekwentny sposób. On sam woła do nas tymi słowami: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was przesładują” (Mt 5,44).

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



Szyderoza, czyli chroniczny brak powagi



Marcei Hejwowski

W środowiskach oazowych ukuty został kiedyś termin „szyderoza”. Odnosił się on do postawy obecnej w tymże ruchu i miał charakter autokrytyczny. Ludzie posługujący się tym określeniem dostrzegali, że jest to choroba duchowa, niebezpieczna dla chorego i stanowiąca przeszkodę dla otoczenia w wędrowaniu drogą wiary. Zasięg jej występowania nie ogranicza się jednak do duchowych dzieci ks. Franciszka Blachnickiego.

Ta duchowa dolegliwość może dotknąć każdego. Gdy zadeklarowałem się, że napiszę tenże felieton, jeden z redaktorów napisał mi: „Bardzo ważny temat, sam kiedyś tak robiłem, więc wiem, jaką to pustkę w pewnym momencie tworzy”. Jakie są symptomy „szyderozy”?

Mogą być różne, bo i ludzie są różnorodni. Typowa jest dążność do ciągłego żartowania oraz chęć rozbawiania wszystkich, których się spotyka. Pro-

blemy na studiach? Obśmiej wykładowców, panie z dziekanatu, sesję i wszystkie przedmioty. Melanż, na którym byłeś przedwczoraj, wyewoluował w złym kierunku? Opowiedz, jak było śmiesznie. Problemy w związku? Szybki żarcik o drugiej płci. Rozmowa o Kościele? Rzuć dowcip nawiązujący do Biblii. Polityka? No, tutaj to nie będzie kłopotu z humorem! Towarzystwo scho- dzi nieustannie na tematy po- ważne? Zadbaj o to, by ani na mi-

nutę nie zapomniało, czym jest śmiech. I tak dalej, i tak dalej...

I w ten oto sposób ludzie, którzy są w pobliżu, niewiele o tobie wiedzą. Kiedy ktoś zapyta znajomych o ciebie, odpowiedzą: „śmieszny ziomek, bardzo fajny”. Albo po prostu: „on jest spoko”. Raczej nie będą wiedzieli o twoich problemach, zostaniesz z nimi sam. Nie będą znali twoich poglądów, nie będą wspierać cię w tarapatkach. Nie dowiedzą się, że zachwycają cię

kwitnące róże, piosenki Krzysztofa Zalewskiego czy Korteza, filmy Hayao Miyazakiego czy ogólnie produkcje studia Ghibli. Nie dowiedzą się, że fascynuje cię język japoński i jest dla ciebie jasne, że 「スタジオジブリ」 to właśnie „studio Ghibli”. Że na przykład frustruje cię bajzel z japońską transkrypcją.

Dusza towarzystwa, ale jednak samotny. Co z tym zrobić? Ważne jest, by nie poddać się odczuciu beznadziei; powoli, małymi, zdecydowanymi krokami można ten stan rzeczy zmienić. Naucz się więcej milczeć, słuchać innych ludzi. Naucz się odpowiadać z powagą na ich wypowiedzi. Czasami opowiedz coś o sobie. Co myślisz o sytuacji. Jak odnajdujesz się w miejscu, w którym jesteście. Chętnie odpowiadaj na pytania dotyczące siebie. Ale bez pośpiechu, rób to na swój sposób. Tak, żeby nie było to sztuczne. Powoli odmień swoje serce w codzienności. Rewolucje zawsze wiążą się



z nieodwracalnymi, niepożądanymi zmianami, więc nie ponawiaj błędów wszystkich rewolucjonistów.

Inną odmianą „szyderczy” jest przesadne używanie ironii i sarkazmu. Po pierwsze, są ludzie, którzy nie rozumieją, że o ile w w spotkaniu twarzą w twarz można dostrzec niewerbalne aspekty komunikacji, takie jak ton głosu, mimika twarzy, gesty, spojrzenie etc., o tyle w rozmowie telefonicznej ma się tylko głos (jego intonację, tempo, ale już bez wizualnych

sygnałów), a w komunikacji internetowej czy sms-owej (również przez Direct Message, czyli Messengera) wszelka ironia czy sarkazm stają się ledwo czytelne, przypominają czystą złośliwość, obrażanie drugiej osoby, nieetyczne chwytów erystycznych, czyli generalnie postawy, które w poważnej dyskusji są powszechnie potępiane. Gdy jeszcze miałem facebookowe konto, dyskutowałem sporo na liczne tematy okołokościelne w pewnej katolickiej grupie. Był tam jeden człowiek, którego osobiście cenię i uważam, że dzięki niemu wypracowałem u siebie myślenie krytyczne, sceptyczne i większy obiektywizm. Mimo iż był to wykształcony erudyta o wielkich predyspozycjach intelektualnych, pogrążał go ostry i sarkastyczny język. Wyglądało to tak, jakby cały czas obrażał i lekceważył swoich adwersarzy. Zdarzyło się, że we dwóch broniliśmy pewnego poglądu przed



zarzutami znaczącej grupy osób (był to jeden z tych przypadków, w których siły wroga są przeważające). Druga strona odpowiadała nam frazesami. Pisałem w sposób wyważony, podając proste argumenty. Wtedy ów erudyta przyszedł mi w sukurs, sarkastycznie wyśmiewając oponentów i ich nielogiczne argumenty, czym wyświadczył mi niedźwiedzią przysługę. Na tym forum uważany był za aroganta, choć chyba każdy, spotkawszy go na żywo, przyznałby, że to prostu uszczypliwy, mówiący dość mocnym językiem intelektualista, który mimo wszystko jest dobrym katolikiem.

Wiele już o tym napisano, ale ja jeszcze powtórzę: w dzisiejszych czasach doświadczamy za dużo hejtu i ostrego języka w sieci. Trzeba pamiętać, że w internecie język powinien być bardziej stonowany, merytoryczny.

Po drugie, i w realu można przesadzić z tymi językowymi środkami. Często wiąże się to z ucieczką w żartowanie, w tym przypadku połączoną jeszcze z przekonaniem, że to bardziej finezyjne „śmieszki”. Miałem polonistkę, która ilekroć coś źle zrobiliśmy, zawsze po prostu ironicznie nas wyśmiewała, zamiast powiedzieć nam, jak powinniśmy uczynić w danym przypadku, nauczyć nas czegoś. Szkoda, że nie czytałem wów-



czas zbyt często Zbigniewa Herberta, bo przytoczyłbym fragment *Z mitologii*:

„[...] już tylko zabobonni neurastenicy nosili w kieszeni mały posążek z soli, przedstawiający boga ironii. Nie było wówczas większego boga.

Wtedy przyszli barbarzyńcy. Oni też bardzo cenili bożka ironii. Tłukli go obcasami i wsypywali do potraw”.

Wydaje mi się, że posługiwanie się językowymi chwytami w nieodpowiednim celu wbiła w pychę i rodzi pogardę dla „zwykłych” ludzi.

Moje wnioski są następujące: bądźmy łagodni, bądźmy też poważni. Ale i śmiejmy się, bawmy, żartujmy. Twórzmy satyry. Pamiętajmy jednak, że śmiech nie jest celem samym w sobie. Że satyra ma kogoś skłonić do refleksji i myśli „co ja mogę z tym zrobić?”. I w tym wszystkim nie

zapomnijmy o człowieku, o jego godności, o jego potrzebie bycia wysłuchanym, potraktowanym poważnie.

W chwili, w której Państwo ten tekst otrzymujecie, mamy za sobą połowę Wielkiego Postu. Przed nami Wielkanoc, czas naszej największej radości. I tej prawdziwej radości w naszym Panu, Jezusie Chrystusie, a nie tylko wesołości (która może być fałszywa i pusta), na ten czas wam życzę.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



I tu dochodzimy do sprzeczności...



Konrad Myszkowski

Ateiści nie mogą mieć racji. Ich argumenty mają tyle sensu, co piosenka o piwie Lubelski Full, a ich umysły bywają ciaśniejsze niż wnętrze Daewoo Tico. Twierdzą, że Boga nie ma – co jest oczywistą bzdurą – oraz że ich poglądy są oparte o naukę, z czym naprawdę ciężko się zgodzić. Przecież każdy wie, że Bóg istnieje, bo jest to oczywiste; nie wierzyć w Niego to tak, jak nie wierzyć w to, że Ziemia krąży dookoła Słońca.

Brzmi przekonująco? Raczej nie, prawda? I nie powinno. Powyższy akapit jest bowiem najeżony błędami logicznymi do tego stopnia, że każdego człowieka umiającego samodzielnie myśleć powinny od patrzenia choć trochę zabołek oczy. Często nie zauważamy nieprawidłowości oraz nadużyć, gdyż nie zawsze bywają one widoczne. Pojawiają się jednak w przytłaczającej większości dyskusji – niezależ-

nie od tego, czy jest to rozmowa w gronie znajomych, debata transmitowana przez telewizję czy publiczna dyskusja w social mediach. W szerokim spektrum błędów logicznych znajdziemy również ten, nad którym chciałbym się szczególnie pochylić, a jest nim nieuprawniona redukcja do absurdu.

Zanim jednak do niej przejdziemy, ktoś mógłby zapytać, dlaczego właściwie poruszam

taki temat na łamach „Adeste”. Skąd w czasopiśmie o tematyce religijnej miejsce na tekst o logice? Najlepszą odpowiedzią będą słowa jednej z piosenek Jacka Kowalskiego: „Jeżeli Bóg dał ci rozum, to rób użytek z rozumu!”. Bóg dał nam go po to, abyśmy – właściwie z niego korzystając – poznawali świat i siebie, a przede wszystkim Stwórcę. Rozum wykorzystujemy również po to, aby przekazywać prawdę o Bogu



źródło:unsplash.com

tym, którzy z różnych powodów w Niego nie wierzą.

Niestety, często nie pamiętamy o tym, iż religijność, wiara w Boga – a wreszcie katolicyzm – są zbiorami poglądów mających logicznie uzasadnienie. Przez to „zapominanie” nieraz nieświadomie pozwalamy, by zaniżany był poziom dyskusji na tematy fundamentalne dla człowieka. Wydaje się to dużą stratą, ponieważ im więcej intelektualnej głębi w dyskusji, tym bardziej zbliża się ona do poznania prawdy. Bez nacisku na zasady logiki nie będziemy w stanie zauważyć i prawidłowo rozpoznać błędów w rozumowaniu oponenta. Co więcej, możemy nawet sami nieświadomie je popełniać. W takich przypadkach owocuje to niemożnością udzielenia od-

powiedzi na argumenty drugiej strony. W dalszej perspektywie zamyka również drogę do dogadania się, co z kolei przekreśla podstawowy z katolickiego punktu widzenia cel dyskusji, czyli prowadzenie wszystkich dusz do jednego Kościoła.

Tak, tak, nie, nie

Zacznijmy od przypomnienia najważniejszych zasad i pojęć logiki. Najbardziej podstawowym z nich jest zdanie logiczne, a więc wypowiedź, o której możemy stwierdzić, że jest prawdziwa lub fałszywa, czyli posiadająca wartość logiczną. Zdaniem logicznym jest więc przykładowo stwierdzenie: „Dziś jest wtorek”, które – w zależności od tego, kiedy czytasz

ten tekst – jest prawdziwe lub fałszywe. Zdanie: „Placki ziemniaczane są dobre” nie jest natomiast zdaniem logicznym, gdyż wyraża opinię, a nie fakt; jednemu placki mogą smakować, a innemu nie.

Uwaga – zdanie logiczne wcale nie musi brzmieć logicznie. Przykładowo wyrażenie: „Adolf Hitler nie wiedział o holocauście” jest zdaniem logicznym, gdyż można jednoznacznie przypisać mu wartość. Hitler nie mógł wiedzieć o holocauście „częściowo” – wiedział albo nie – zdanie jest więc fałszywe lub prawdziwe. Formułując i uzasadniając twierdzenia, posługujemy się tylko i wyłącznie zdaniami logicznymi. Uzasadnianie swoich twierdzeń niepopartą logicznymi argumentami opinią lub przypuszczeniem stanowi błąd logiczny. Przestrzegaj przed nim sam Jezus, mówiąc: „Niech wasza mowa będzie: tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” (Mt 5, 37).

Bardziej złożone zdania logiczne składają się najczęściej z szeregu prostszych zdań połączonych spójnikami. Pozwolę sobie wymienić najważniejsze z nich. Negacja („nieprawda, że”) to po prostu zaprzeczenie pojedynczego zdania. Koniunkcja („i”) jest prawdziwa, gdy prawdziwe są oba zdania, które ona łączy. Dla prawdziwości alternatywy („lub”) wystarczy jedno

zdanie zgodne z prawdą. Implikacja („jeżeli..., to...”) oznacza, że z prawdziwego pierwszego zdania wynika prawdziwość drugiego. Równoważność natomiast („wtedy i tylko wtedy, gdy”) to w istocie implikacja działająca w obie strony.

Samo twierdzenie jest zdaniem składającym się z założeń oraz tezy, które łączy implikacja. Dowód twierdzenia polega z kolei na pokazaniu – krok po kroku – że jeśli założenia są prawdziwe, to teza również. Oczywiście u progu każdej teorii stoją pewne aksjomaty, czyli twierdzenia przyjmowane za pewnik i niewymagające dowodu. Na ich podstawie dochodzi się coraz bardziej skomplikowanych wniosków.

W tym momencie chwila przerwy na przełożenie teorii na praktykę. W powyższym akapicie użyłem bowiem wielu „brzydkich” słów i określeń, na czele z „dowodzeniem twierdzeń”, które budzi w nas pamięć o najczarniejszych momentach przygotowań do matury z matematyki. Trzeba sobie jednak uświadomić, że wypowiedzianie zdań logicznych, stawianie i dowodzenie twierdzeń to nasza codzienność. Zawsze, kiedy staramy się przekonać kogoś do jakiejś racji, to właśnie, w sensie logiki, dowodzimy pewnego twierdzenia.

Oczywiście dotyczy to tylko

zdań logicznych. Przekonywanie kogoś, że Messi jest lepszym piłkarzem niż Ronaldo, a Passat 1.9 TDI to wspaniały samochód, to już nie dowodzenie twierdzenia, tylko uzasadnianie swojej opinii. Lubię pierogi z mięsem, ale jeśli ktoś przedkłada nad nie pierogi ruskie, to bezcelowe byłoby przekonywanie go, że nie ma racji jedynie dlatego, iż żaden Polak nie powinien lubić ruskich. Tak rozumiem powiedzenie: „O gustach się nie dyskutuje” – rozmawia się o nich, ale się nie dyskutuje.

Warto przypomnieć w tym miejscu, że twierdzenie jest implikacją, a zatem dowodząc tezy, zawsze przyjmujemy pewne założenia. Ponieważ nie za każdym razem są one jasno wyartykułowane, w codziennych dyskusjach nieraz o nich zapominamy. Trzeba jednak upewnić się, że zarówno my, jak i nasz rozmówca, przyjmujemy te same założenia (nawet domyślnie). Oczywiście będą się one różnić w zależności od interlokutora. Próbując przekonać człowieka niewierzącego, że Bóg istnieje, wyjdziemy zazwyczaj od przesłanki, że istnieje logicznie urządzone świat zamieszkały przez rozumnych ludzi. Dyskutując na tematy teologiczne z protestantem, możemy opierać się na słowach Biblii, jednak w rozmowie z osobą niewierzącą lub buddystą będziemy zmuszeni użyć argumentów

pochodzących z innej dziedziny – dla owych ludzi Biblia nie stanowi bowiem punktu odniesienia w kwestiach wiary.

Błądzić – rzecz ludzka

Skoro już wyjaśniliśmy sobie, że dowodzenie twierdzeń nie zawsze musi boleć, a wręcz bywa realizacją powołania misyjnego Kościoła, przejdźmy wreszcie do zasygnalizowanej we wstępie kwestii absurdu. Wiąże się ona z jedną z najczęściej spotykanych w matematyce metod dowodzenia i warto omówić tę sprawę krok po kroku. Wśród wielu metod udowadniania poczesne miejsce zajmuje dowodzenie wprost. Polega ono na przyjęciu założeń i wyciągnięciu z nich wniosków, z których następnie biorą się kolejne wnioski i tak dalej – aż w końcu za którymś razem otrzymamy tezę.

Wbrew pozorom nie jest to droga najłatwiejsza, toteż wiele spośród słynnych twierdzeń matematyki zostało dowiedzionych nie wprost – poprzez *reductio ad absurdum*. Na czym polega ów sposób rozumowania? Na początku zakładamy, że twierdzenie jest fałszywe, czyli jego założenia są prawdziwe, a teza fałszywa, ponieważ nie wynika ona z przesłanek. Prawdziwe są więc założenia oraz negacja tezy – z tych właśnie zdań wyciąga-

my wnioski, które krok po kroku prowadzą nas do sprzeczności. Skoro fałszywość twierdzenia implikuje sprzeczność, to oczywiście nie może być ono fałszywe. Jest więc prawdziwe.

Gdzie tu jednak błąd? Przecież w pierwszym akapicie pisałem o błędzie w rozumowaniu, a tymczasem prezentuję redukcję do absurdu jako całkiem uprawnioną metodę dowodzenia, na dodatek powszechnie stosowaną przez matematyków. Ano właśnie – tu dochodzimy do clou całego artykułu. Otóż dowód uzyskany poprzez *reductio ad absurdum* jest nim tylko wtedy, gdy rzeczywiście udało się wykazać ciąg implikacji pomiędzy zaprzeczeniem twierdzenia a sprzecznością. W każdym innym wypadku mamy prawo wytknąć oponentowi błąd w rozumowaniu i nie uznać jego tezy za dowiedzioną. Kiedy następnym razem podczas dyskusji usłyszymy, że nasze poglądy nie mają sensu, a rozmówca zaatakuje nas śmiechem lub sarkazmem, zastanówmy więc się dobrze, czy nie mamy do czynienia z błędem logicznym. Nieprawidłowe zastosowanie *reductio ad absurdum* wiąże się z różnorodnymi błędami, które postaram się wyliczyć, posiłkując się godną polecenia książeczką *Błędy Ateistów: 60 najczęstszych pomyłek logicznych* autorstwa Jana Lewandowskiego.

Pierwszym z błędów jest *reductio ad ridiculum*. Polega on na tym, że rozmówca, zamiast odnieść się merytorycznie do argumentów oponenta, wyśmiewa je lub odrzuca bez uzasadnienia swojej postawy. Sztandarowym przykładem są tu wszelkie twierdzenia, że wiara w Boga jest śmieszna i niepoważna. Błąd ten jest jednak szczególnie powszechny w dobie social mediów. Występuje on w przytłaczającej większości tworzonych przez osoby „zaangażowane” memów i komiksów, których funkcją jest wykpienie pewnych poglądów. Osoba popełniająca ten rodzaj błędu zazwyczaj stara się wyrzucić efekt emocjonalny, by za jego pomocą zdyskredytować oponenta i jego argumenty. Emocje mogą być jednak nie tylko skutkiem, ale i przyczyną *reductio ad ridiculum*, gdy w toku gorącej dyskusji rozmówcy zapominają o swoich argumentach i siebie nawzajem zaczynają przerzucać oskarżeniami o absurd. Aby uniknąć tej pomyłki, należy zachowywać opanowanie w czasie debatowania. Gdy natomiast oponent używa sarkazmu czy szyderstwa wobec naszych argumentów, warto wskazywać, że popełnia błąd logiczny.

Kolejną pomyłką stanowi nieuprawnione *reductio ad absurdum*, które autor wspomnianej książeczki określa jako

srowadzenie do absurdu części pewnej całości. Dzieje się to zwykle poprzez stworzenie karykatury, najczęściej będącej hiperbolą – chwytliwym środkiem retorycznym, który jednak zazwyczaj wiąże się z błędem logicznym. Jako przykład takiej fałszywej redukcji Lewandowski podaje twierdzenia, iż wiara katolicka oznacza wiarę w płaskość ziemi lub w to, że świat został stworzony w sześć dni – oba poglądy powstały w istocie na skutek błędnej interpretacji Pisma Świętego.

Powyższy przykład można by również zaklasyfikować do błędu określanego jako *argumentum ad fidem*. Jest to technika manipulacji skuteczna w dyskusjach ze słabo przygotowanymi uczestnikami, którzy bronią swojej religii. Oponenti przekonują taką osobę, że doktryna ich wiary obejmuje pewne stwierdzenie, podczas gdy w rzeczywistości tak nie jest. Oprócz wymienionych w poprzednim punkcie przykładów przytoczyć można wmawianie katolikom karykaturalnej wersji dogmatu o Trójcy Świętej czy nieomyślności papieża. Aby ustrzec się przed tym błędem, należy zgłębiać naukę Kościoła. Za każdym razem, gdy oponent przypisuje nam wiarę w coś podejrzanego, warto również sprawdzić, w katechizmie lub z pomocą wykwalifikowanego teologa, rzeczywi-



źródło:unsplash.com

ste stanowisko Kościoła w danej kwestii. Jest to szczególnie ważne, ponieważ błąd argumentum ad fidem przyczynił się do porzucenia wiary przez wielu ludzi, którzy nie potrafili go dostrzec i odpowiedzieć na niego odpowiednią ripostą.

Argumentum ad populum to natomiast pomyłka dostrzegalna szczególnie w wypowiedziach osób publicznych. Błąd ten jest w istocie chwytem retorycznym mającym na celu pozyskanie sympatii słuchaczy poprzez odwoływanie się do ich instynktów

oraz emocji. Spotkamy się z nim w niemal każdej debacie telewizyjnej, kiedy jej uczestnicy – zamiast odpowiadać na pytania prowadzących czy rozmówców – starają się za wszelką cenę „dobrze wypaść” i zaimponować widzom. Nagminnie stosują go również publicyści przy okazji interpretowania danych statystycznych, celowego przeinaczania cudzych wypowiedzi, czy sarkastycznych żartów. Na argumentum ad populum bazują również reklamy wmawiające potencjalnym klientom, że przy-

kładowo, dany szampon jest najlepszy, ponieważ używa go 95% Polaków (gdzie tu związek?).

Wyżej wymieniony błąd wiąże się z argumentum ad numerum – przekonaniem, że teza jest prawdziwa, ponieważ większość ludzi się z nią zgadza. Myślenie według argumentum ad numerum stanowi podstawę współczesnego kultu demokracji oraz demokratyzmu zezwalającego na kształtowanie prawa i moralności według uznania większości. Argumentum ad numerum jest szczególnie często wykorzystywany w dyskusjach światopoglądowych, gdzie z jego pomocą atakuje się przeciwników eutanazji, ideologii gender czy działaczy pro-life. W rzeczywistości skala poparcia dla tezy nie ma związku z jej prawdziwością, a prawda pozostanie prawdą nawet wtedy, gdy wszyscy będą żywić przekonanie fałszywe.

Odniesienie się do braku wiedzy oponenta i przerzucenie na niego ciężaru dowodowego to z kolei argumentum ad ignorantiam. Błąd ten popełniają ateści twierdzący, że nie spotkali się z przekonującym dowodem na istnienie Boga, a więc dowodzi to faktu, że On nie istnieje. W rzeczywistości brak uzasadnienia tezy nie udowadnia tezy przeciwnej. Jeśli więc ktoś nie potrafi uzasadnić swojego stanowiska, nie oznacza to

automatycznie, że nie ma racji.

Argumentum ad personam oznacza natomiast stwierdzenie, które nie odnosi się do argumentów oponenta, lecz do jego osoby. W dziedzinie religii często występuje on w postaci dyskredytacji, przykładowo w postaci słów: „on musi tak mówić, ponieważ jest katolikiem”; „jest księdzem, więc mówiąc o Kościele, nie jest wiarygodny”. Aby uniknąć tego błędu, należy pamiętać, że osoba rozmówcy nie ma związku z prawdziwością głoszonych przez nią tez.

Kolejny sposób błędnego uzasadniania to argumentum ad novitatem, czyli twierdzenie, że pogląd jest prawdziwy ze względu na swoją „nowoczesność”. Ten błąd napotykamy, ilekroć ktoś twierdzi, że katolicyzm to „ciemnogród” czy „zacofanie”. Warto jednak zauważyć, że często popełniają go również tzw. „katolicy otwarci”. Nieraz zarzucają oni archaiczność niektórym elementom tradycyjnego nauczania Kościoła czy starszym praktykom pobożnościowym, takim jak msza „trydencka”. W rzeczywistości o prawdziwości tezy nie decyduje nowoczesność argumentacji – prawda bowiem nie zmienia się wraz z upływem czasu.

Kolejny błąd, któremu warto poświęcić uwagę, to Dicto Simpliciter, czyli generalizacja na podstawie pewnej liczby przy-

padków. Błąd ten często wiąże się z grą na emocjach, gdy przykładowo podważa się świętość Kościoła ze względu na skandale pedofilskie z udziałem pojedynczych duchownych. Popełniają go również ateści twierdzący, że Boga nie ma, ponieważ oni Go nie widzieli lub nie doświadczyli Jego obecności.

Niewłaściwym zagranem w dyskusji bywa również ekwiwokacja, czyli porównywanie dwóch zdań, w których to samo słowo użyte jest w różnych znaczeniach. Jako przykład Jan Lewandowski podaje zdanie: „Jeśli wierzysz w Boga to tak, jakbyś wierzył w krasnoludki”. Czasownik „wierzyć” oznacza za pierwszym razem oparte na pewnych przesłankach przekonanie religijne, a za drugim dziecięcą wiarę w bajki. Ekwiwokacja jest również przykładem fałszywej analogii, czyli wyciągnięcia niewłaściwego wniosku z dwóch analogicznych zdań.

Ipsse dixit wiąże się natomiast z uzasadnieniem tezy tylko i wyłącznie za pomocą własnego przekonania, a więc stwierdzenie, że ma się rację, ponieważ „jest to oczywiste”. Zwłaszcza studenci matematyki dobrze wiedzą, że zbyt szybkie uznanie czegoś za oczywiste to najprostsza droga do skończenia studiów. Ze skutkiem natychmiastowym. Wreszcie Non causa pro causa oznacza niepra-

widłowe wnioskowanie – wyciąganie z założeń wniosków, które wcale z nich nie wynikają.

We wcześniejszych akapitach ukazałem obszernie specyfikę błędów logicznych i jeśli choć jedna dyskusja na temat religii – lub w jakiegokolwiek innej kwestii – osiągnie dzięki temu tekstowi wyższy poziom, warto było je przytoczyć. Oczywiście konieczne jest również zgłębianie tematu na własną rękę, ponieważ istnieje ogromna liczba pomyłek logicznych, o których nie wspominałem. W ten sposób nie tylko pojawi się okazja do doskonalenia swojej umiejętności debatowania, ale przede wszystkim do nauki logicznego myślenia. Nie jest ono bowiem wcale cechą wrodzoną, lecz trzeba ją w sobie nieustannie kształcić i rozwijać. A ponieważ jako katolicy wierzymy, że rozum jest darem od Boga, z którego mamy korzystać na Jego chwałę – tym bardziej nie wolno nam tego daru zaniedbywać.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



Nie jestem Hiobem – kwestia cierpienia w serialu Daredevil



Piotr Krajski

„- Znajduje na śmietniku gościa, który okazuje się jakimś ślepy mścicielem, odstawiającym dziwne numery, jak wyczuwanie wody kolońskiej przez ściany i tego, czy ktoś jest nieprzytomny, czy tylko udaje.

W dodatku bez słowa skargi potrafi znieść niewiarygodny ból.

- To ostatnie to katolicyzm” (tłum. A. Kubasiewicz).

Choć w komediowym tonie, ten fragment rozmowy odsyła do podstawowych kwestii, które przewijają się przez cały serial *Daredevil*. Cierpienie i wiara stanowią przedmiot zmagania głównego bohatera.

Warto w tym miejscu od razu sprostować jedną kwestię, która została poruszona w tekście Filmowa spowiedź w poprzednim numerze „Adeste” (nr 18/2019). Pomimo że bohater reprezentuje katolicki światopogląd, w serialu ani razu nie pojawia się spowiedź. To znaczący brak. Jedynie w pierwszym odcinku mamy do czynienia z podobną

formą, choć bliższa jest ona terapii. Brakuje w niej wyznania grzechów i właściwie sprowadza się do opowieści bohatera o swojej trudnej przeszłości.

Daredevil opiera się na komiksowej serii Marvela o tytułowym superbohaterze. Matt Murdock jest niewidomy, ale charakteryzuje się niezwykłym słuchem. Dzięki niemu odbiera

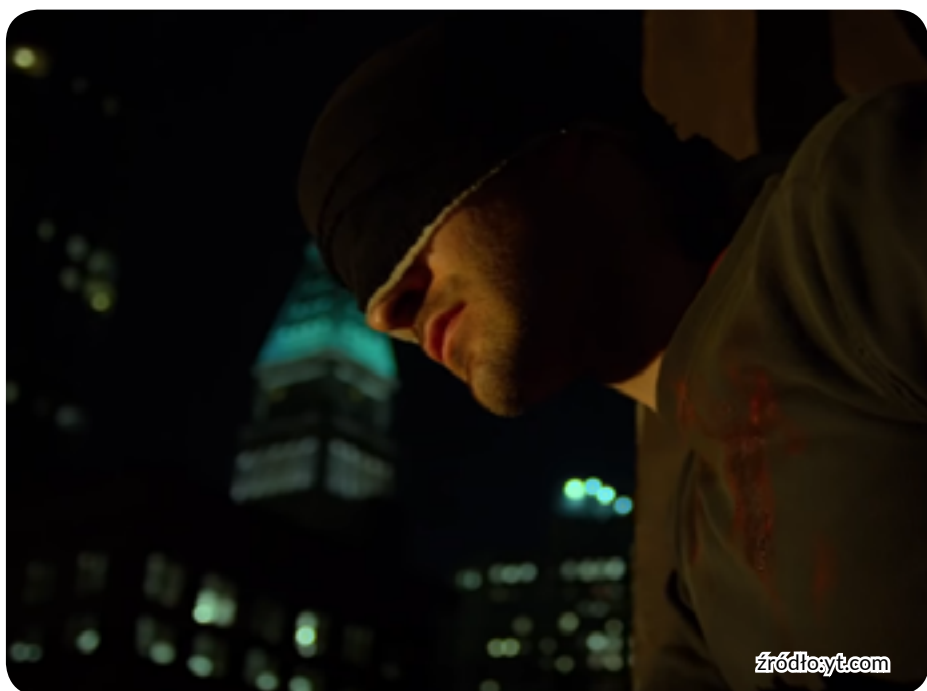
najdalsze dźwięki, rozpoznaje je i przez nie dowiaduje się o zagrożeniu, a także reaguje na prośby o pomoc. Atut bohatera stanowi umiejętność walki wręcz, co pozwala mu skutecznie pokonywać przeciwników. Dodatkowo potrafi znieść ból oraz przyjmować ciosy, jakich żaden zwykły śmiertelnik by nie wytrzymał.

W jednym z odcinków piełgniarka znajduje pobitego do nieprzytomności bohatera. Pojawia się wówczas dialog z początku artykułu. Być może to daleko idąca interpretacja, ale postawa kobiety wobec cierpienia przypomina stosunek współczesnego świata do tego problemu. Z punktu widzenia zlaicyzowanego człowieka cierpienie jest czymś niepojętym, czego nie da się przyjąć ani dostrzec w nim sensu. Trudno zrozumieć, że ktoś może znosić cierpienie, przyjmować je bez skargi. Nie chodzi jedynie o postawę wobec eutanazji, ale też o sferę życia codziennego. Odrzuca się wówczas wszystko to, co kosztuje w naszym odczuciu zbyt wiele wysiłku. Choć to tylko uwaga na marginesie, poruszenie w serialu problemu cierpienia dowodzi, że już w tym aspekcie *Daredevil* się wyróżnia. Przedstawia postać człowieka znoszącego ból i cierpienie w świecie, w którym sens cierpienia się zaciera.

Sam główny bohater nie jest pozbawiony wątpliwości. Całe jego dzieciństwo naznaczone było buntem i niezrozumieniem wobec utraty wzroku w wyniku wypadku. W retrospekcjach poznajemy młodego buntowniczego Murdocka, w którym narastają gniew i frustracja. Nie opuszczają go one także w dorosłym życiu. Wspomniana spowiedź z początku serialu jest

być może wyrazem miotania się bohatera. Prawdopodobnie wynika z potrzeby zwrócenia uwagi na niesprawiedliwość, której doznaje, a także z bólu, jakim naznaczone jest jego życie. Napotkany ksiądz staje się ostrożnym słuchaczem, który próbuje pobudzić bohatera do refleksji. Kilka rozmów z pierwszego sezonu serialu dotyka zagadnień związanych z wiarą. Szkoda, że w późniejszej części serialu wątki te prawie nie powracają. W jednej z takich dyskusji pada pytanie o istnienie osobowego zła. Ksiądz przyznaje, że jako seminarzysta sceptycznie odnosił się do koncepcji diabła jako realnej siły. Odczytywał go, jak przyznaje, metaforycznie, posiłkując się tłumaczeniem z języka hebrajskiego, jako „przeciwnika”, „antagonistę”. Utożsamiał z diabłem wszelkie przeszkody, które stają na drodze człowie-

ka. Jednak po doświadczeniach z misji uwierzył w istnienie diabła, ujrzawszy jego obecność w drugim człowieku. Murdock osobowe zło dostrzega w postaci Fiska – wpływowego człowieka, który pod przykrywką biznesmena prowadzi działalność przestępczą. Wpływa znacząco na Nowy Jork, właściwie staje się głównym sprawcą nieszczęścia i cierpienia jego mieszkańców. Główny bohater zastanawia się, czy jego dusza nie została potępiona, gdyby zabił wspomnianego mężczyznę. Czuje, że narasta w nim pragnienie zabójstwa, które mogłoby służyć wymierzeniu sprawiedliwości. Ksiądz pozostawia go z pytaniami: Czy akt przemocy jest rzeczywiście konieczny? Czy przypadkiem nie jest wynikiem niszczącego pragnienia, które przecież upodobniłoby go do sprawcy?



źródło: yt.com



Wątek poruszający moralne wątpliwości bohatera to jeden z wiodących w serialu. Czy sam może wymierzyć sprawiedliwość, czy może zabić, jeśli przyświeca mu chęć uratowania mieszkańców? Książd w rozmowie z Murdockiem porusza także problem społeczny zła: „kiedy sprawiedliwy ulegnie grzechowi, narobi krzywd jak publiczna studnia, która zostaje skażona, bo cień tego, co zrobił, obejmie jego przyjaciół, sąsiadów i całą społeczność” (tłum. A. Kubasiewicz). Ta kwestia jest ważna ze względu na prawnicze wykształcenie bohatera. Początkowo wierzy on, że pod przykrywką prawa może wymierzyć sprawiedliwość. Pojawiająca się w czołówce serialu figura Temidy poprzez swoją symbolikę przypomina o tym, że powinno się pozostać bezstronnym w postępowaniu. Bohater jako osoba niewidoma może się tu jawić jako personifikacja tej idei. Szybko jednak

zaczyna uważać, że ziemskie prawo jest wadliwe i źli wykorzystują jego niedoskonałości na swoją korzyść. Ten wątek przewija się przez całe dwa sezony, ukazując drogę bohatera od wiary w sprawiedliwość do przekonania, że tylko on sam może ją wymierzyć. W drugim sezonie wątki wiary właściwie zanikają, by ponownie wybrzmieć mocno w trzecim sezonie, i znowu wrócić do zagadnienia cierpienia, już nie tylko w kontekście możliwości jego zadawania i ryzyka

upodobnienia się do złych, ale także w pytaniu o sens cierpienia, jakie przyjmuje na siebie bohater. Po katastrofie budzi się on w sierocińcu prowadzonym przez siostry, w którym sam był wychowywany po śmierci ojca. Ten moment w serialu okazuje się momentem granicznym, ponieważ bohater oddala się od najbliższych i doznaje ogromu cierpienia. Czuje się wówczas osamotniony i nie wie, czy będzie w stanie wrócić do sprawności, która pozwoli mu znowu podjąć walkę. Właśnie wtedy, w rozmowie siostrą zakonną, pojawia się postać Hioba: „Hiob był mięczakiem i ja też. Dobrowolnie cierpiałem, bez narzekania ofiarowałem swój pot, krew i skórę, bo wierzyłem, że jestem żołnierzem Boga... Już nie wierzę... Jestem tym, co robię w ciemności... Krwawię tylko dla siebie” (tłum. A. Kubasiewicz). Siostra zakonna dość zdecydo-





źródło: yt.com

wanie reaguje na postawę Murdocka. Uważa, że ten uzala się nad sobą. Wydaje się surowa wobec bohatera, jednak opatruje jego rany, wskazuje na krzyż, dostrzega, że Murdock odznacza się pychą. W pełni nie rozwija tej myśli, ale można dostrzec w postawie głównego bohatera coś, co zostaje zasygnalizowane wizualnie w jednym z odcinków. W retrospekcji pojawia się duży krucyfiks z figurą Chrystusa na ścianie sierocińca, siostrzakonna opatruje rany małego Murdocka. Najpierw wyciska gąbkę z wody, a następnie z krwi. Dalej widzimy uwięzionego bohatera, już w terażniejszości.

Wydaje się, że sam bohater widzi siebie jako zbawcę miasta, kogoś, kto odrzucił pomoc innych, uznając, że jest jedynym, który może je uratować. W ten sposób przypisuje sobie rolę

niemal boską. Niepowodzenia okazują się dla niego katastrofą, ponieważ całą wiarę pokładał w samym sobie, nie zaś w Bogu. Cierpienie, którego doznaje, i kryzys, w jakim się znajduje, zakorzenione są w tragedii z jego dzieciństwa i złości na samego Boga; w poczuciu, że został opuszczony, uznając, że tylko on może wymierzyć sprawiedliwość.

Gdy prześledzi się Księgę Hioba, można zauważyć, że mowa Hioba ma charakter obronny. „Mam gotową obronę przed sądem” – podkreśla Hiob. Ma poczucie, że doznaje ogromnego cierpienia, próbuje dowieść swojej niewinności. W samym tekście padają słowa odsyłające nas do takich prawniczych pojęć, jak: „świadkowie”, „sędzia”, „sprawiedliwość”. Już w tym widoczny jest związek

między Hiobem a Murdockiem, który jako prawnik wielokrotnie przygotowywał właśnie mowy sądowe. Bohater *Daredevila* najpierw odrzuca sprawiedliwość ludzką, a następnie Bożą, by w gniewie i zaślepieniu wymierzać własną sprawiedliwość. Nie widzi żadnej formy wsparcia od Boga, dlatego też (poza pierwszym odcinkiem) nie prosi Go o pomoc. Gdy ksiądz próbuje naprowadzić go na sakramenty, Murdock się wycofuje. Można dostrzec w tym akcie nie tylko kryzys wiary, lecz także gniew przemieszany ze wspomnianą pychą. Ona najbardziej blokuje bohatera w drodze do Boga i zrozumienia cierpienia. Znoszenie wszelkich cierpień i utrzymywanie przy życiu można jednak odebrać jako rodzaj Bożej próby, która ma pozwolić Murdockowi dostrzec swoje błędne postę-

Lament Hioba



źródło:wikimedia.org

powanie. Cierpienie, jakie znosi główna postać, jest ogromne. Jaki jest cel takiego doświadczenia? Warto wrócić do dialogu z początku artykułu, mówiącego o trudach znoszonych przez katolików: Ofiara miłości, poświęcenie i walka o drugiego człowieka. Katolicyzm przedstawiony jest tu jako zdolność do takiej postawy, jaką świat wiąże czasem z nadludzką mocą, z czymś niemożliwym: znoszenie trudu ze względu na dobro, o jakie się walczy.

Pytanie o cierpienie, wybrzmiewające w doświadczeniu Hioba, jak zauważa o. Stanisław Biel, ukazuje niewłaściwe rozumienie cierpienia przez osoby postronne. Są one przekonane, że Hiob musiał popełnić jakiś ogromny grzech. Cierpienie utożsamiają jedynie z karą, nie widzą w nim Bożego planu,

który przewyższa sąd i karę. „Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny” (2 Kor 12, 7–10). *Daredevil* buntuje się przeciwko roli Hioba, mówi to otwarcie: „nie jestem Hiobem”. Zapomina jednak o drugiej części Księgi i Bożej interwencji w życiu prześladowanego. Zapomina w końcu o tym, o czym w pewnym momencie przypomina ksiądz: „Nie rozumiesz grzechu pierworodnego. Bóg dał nam wolną wolę, Adam i Ewa nie byli marionetkami. Bóg cię lekceważy? Nie od-

powiada w modlitwie. Płonący krzew nie zdarza się zbyt często, przeważnie Bóg działa subtelniej, przemawia szeptem” (tłum. A. Kubasiewicz). To ostatnie słowo kojarzyć się zaś może z myślą C.S. Lewisa (2010), którą zawarł w książce *Problem Cierpienia*: „W naszych przyjemnościach Bóg zwraca się do nas szeptem, w naszym sumieniu przemawia zwykłym głosem, w naszym cierpieniu – krzyczy do nas, cierpienie to Jego megafon, który służy do obudzenia głuchego świata”.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



Współczesne legendy templariuszy



Wojciech Gałek

„Papieżu Klemensie! Rycerzu Wilhelmie! Królu Filipie! Nim rok minie, spotkamy się na sądzie Bożym!”. Takie słowa według legendy miały paść z ust ostatniego wielkiego mistrza templariuszy, Jakuba de Molay’go, gdy 18 marca 1314 roku rozpalono pod nim stos. Tamten dzień był końcem zakonu. I jednocześnie był momentem narodzin wielu nowych historii.

Papież Klemens V, który przymuszony przez władcę Francji oficjalnie rozwiązał zakon, zmarł miesiąc po Molay’m. W listopadzie tego samego roku swój żywot zakończył król Filip IV zwany Pięknym. Czyżby klątwa faktycznie okazała się skuteczna? Przekleństwo rzucone przez konającego Jakuba de Molay’go to jedna z wielu legend. I raczej tylko legend, bowiem Wilhelm de Nogaret, czyli jeden z trzech głównych „krzywdzicie-

li” zakonu zmarł na rok przed egzekucją wielkiego mistrza. Chyba że klątwa, w przeciwieństwie do prawa, mogła działać wstecz.

Wokół procesu zakonników oraz wielu późniejszych wydarzeń związanych z likwidacją bractwa narosło wiele innych opowieści, najczęściej z pogranicza fantastyki. Niektóre z nich próbowały przedstawić „prawdziwą” przyczynę kasacji zakonu. Inne opowiadały o dalszych losach zakonników, którym

udało się umknąć sądom króla i papieża. Co ciekawe, niektóre z nich przetrwały do naszych czasów. I wciąż trafiają na podatny grunt w różnych dziełach współczesnej kultury masowej.

Tajność nad tajnościami

Czytelnicy Krzyżaków Henryka Sienkiewicza być może pamiętają postać brata Zygryda, porywacza Danuty Jurandówny. Tenże zakonnik w pewnych

momentach sprawiał wrażenie człowieka, któremu bliższe są magiczne obrzędy i tajemnicze rytuały niż sakramenty. Dość specyficznym zachowaniem było częste zastępowanie słowa „Bóg” określeniem „Duch Światłości”, na co zwracali uwagę jego współbracia. Cały wątek niknie jednak w gąszczu innych, ważniejszych wydarzeń.

To, co w Krzyżakach jest tylko drobnym elementem, zabiegiem podkreślającym stopniowe oddalanie się zakonu od swojego prawdziwego powołania, w wielu tekstach o templariuszach jest jednym z podstawowych motywów. Tak. Templariusze nie raz i nie dwa byli przedstawiani jako organizacja, która tak naprawdę nie była zakonem rycerskim, ale... No właśnie. Czym?

Dziś najchętniej do tajemniczej aury zakonu odwołuje się znana seria gier *Assassin's Creed*. W pierwszej części cyklu, rozgrywającej się podczas wypraw krzyżowych, główny bohater próbuje odzyskać nieznaną artefakt z rąk, a jakże, templariuszy. W trakcie rozwoju fabuły okazuje się, że sztyld Ubogich Rycerzy Chrystusa ukrywa organizację zrzeszającą nie tylko katolików, ale wszystkich ludzi pragnących wejść w posiadanie rzeczy pozostałych po tajemniczej Pierwszej Cywilizacji. Wraz z kolejnymi częściami dowiadujemy się, że początki zakonu



źródło:wikimedia.org

sięgają starożytności, a proces Filipa Pięknego bynajmniej nie zakończył jego kariery na arenie międzynarodowej. Wręcz przeciwnie. Templariusze, działając „pod przykrywką”, kontynuują swoją misję aż do współczesności.

Kolejną „prawdziwą” wersję historii zakonu przedstawił Dan Brown w swojej książce *Kod Leonarda da Vinci*. Zgromadzenie templariuszy powstało tak naprawdę tylko po to, by strzec przed Kościołem i światem dokumentów zdradzających prawdziwą istotę Świętego Graala. Graala, którym miała rzekomo być... Maria Magdalena, żona Jezusa, matka jego dzieci. Po upadku państw krzyżowców w Le-

wancie templariusze musieli się wycofać do swoich posiadłości w Europie. Tam, na początku XIV wieku, dopadła ich zemsta papieża Klemensa i pomagającego mu w tym wszystkim króla Filipa.

Święty Graal to jeden z ulubionych chrześcijańskich artefaktów, które filmowcy wykorzystują w swoich filmach. Próbowali go odnaleźć Indiana Jones, a także rycerze króla Artura. W 2017 roku Netflix rozpoczął emisję serialu *Knightfall*. Jest on kolejną wariacją na temat poszukiwań Chrystusowego kielicha, który po zdobyciu Akki przez muzułmanów zaginął, by odnaleźć się kilkanaście lat później na terenie Francji. Serial dość swobodnie traktuje wątki historyczne, zmienia wiek i tożsamość postaci, mnoży spiski wewnątrz spisków oraz wymyśla nowe, międzynarodowe bractwa, które za wszelką cenę chcą odzyskać magiczną wręcz relikwię.

Co ciekawe, po legendarnej historii związanej z zakonem sięgali także polscy twórcy. Zbigniew Nienacki w ramach cyklu *Pan Samochodzik* przedstawił historię poszukiwań zaginionego skarbu templariuszy. Z kolei Zofia Kossak-Szczucka w powieści *Król trędowaty* sięgnęła po wątek tajemnych rytuałów praktykowanych przez niektórych członków zakonu templariuszy,

choć tym razem w ramach innej organizacji zrzeszającej ludzi różnych kultur i religii. Wśród różnych znaków tej wspólnoty opisywanych przez autorkę można doszukać się nawiązań do późniejszej symboliki wolnomularskiej.

Zresztą, nic w tym dziwnego. W wiekach późniejszych niektóre ugrupowania masońskie odnosiły się w swojej symbolice do zakonu. Czy templariusze, którym udało się przetrwać proces, stworzyli kolejną tajną organizację, by w końcu pokazać się światu jawnie jako wolnomularze? Wątpliwe, ale brak całkowitej pewności pozwala tworzyć różne warianty historii.

Zbrojne ramię Kościoła

Jednak nie wszyscy widzowie i twórcy powieści bądź filmów są zwolennikami teorii spiskowych, legendarnych artefaktów rodem z filmów o Indianie Jonesie bądź wydarzeń z pogranicza fantasy. Z tego powodu niektórzy autorzy w swoich dziełach próbowali przedstawiać templariuszy w sposób całkowicie realistyczny, bez żadnych odniesień do praktyk magicznych. Jednak nawet w tej sytuacji wizerunek zakonu był niczym innym, jak kolejną wersją jego negatywnego PR-u.

Jak byli przedstawiani ci „realistyczni” templariusze? Naj-

częściej po prostu jako prymitywni siepacze, których jedynym celem była walka z niewiernymi. Jako że Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świętyni Salomona był zakonem rycerskim, intuicyjne wydaje się przedstawienie ich w kontekście sfanatyzowanych wojowników niosących śmierć z imieniem Boga na ustach.

Ten wątek wiąże się oczywiście z dosyć czarnym obrazem krucjat w obecnych czasach. Paradoksalnie, współcześnie w dobie nacisków na niuansowanie i relatywizowanie zachowań postaci niektóre zjawiska i instytucje związane z Kościołem Katolickim są przedstawiane w sposób wybitnie negatywny.

Wyraźna krytyka wypraw

krzyżowych w znanym filmie Ridleya Scotta *Królestwo niebieskie* nie może być tu wyjątkiem. Niejako automatycznie głównym oponentem naszego protagonisty stał się, bezwzględnie dążący do konfliktu militarnego, król Gwidon de Lusignan ze swoimi zausznikami i wspierający go w tym ambitnym przedsięwzięciu templariusze. Twórcy filmu do tego stopnia starali się połączyć obie grupy, że władca Królestwa Jerozolimskiego na co dzień zakłada szatę z charakterystycznym czerwonym krzyżem na białym tle.

Prawdą jest, że templariusze wspierali Gwidona w drodze do korony po dwóch władcach o tym samym imieniu: Baldwi-



nie IV Trędowatym i Baldwinie V Dziecięciu. Współ ze zwoleńnikami de Lusignana przymusili m.in. Rogera de Moulins, mistrza joannitów, do wydania insygniów królewskich. Wszystko to nieomal doprowadziło do wybuchu wojny domowej między pullanami, chcącymi jak najdłużej zachować pokój z Saladynem, a stronnictwem gotowym na kolejne starcia z muzułmanami. Zresztą, nie był to jedyny moment, w którym wewnętrzne animozje przyczyniły się do osłabienia pozycji państw krzyżowców. Spór joannitów i templariuszy ciągnął się latami i czasami przeradzał się w regularne potyczki.

Jednakże templariusze, podobnie jak inne zakony rycer-



źródło: pixabay.com

Przedmiot mający skrywać pilnie strzeżoną tajemnicę zakonu templariuszy. Kadr z filmu *Kod Leonarda da Vinci*.



źródło: yt.com

skie, nie tworzyli organizacji mającej toczyć bezwzględne walki z muzułmanami. Choć koegzystencja muzułmanów, chrześcijan i Żydów miała miejsce na Bliskim Wschodzie (a Ubodzy Rycerze Chrystusa w pierwszej kolejności mieli walczyć z „niewiernymi”), to ani reguła bractwa, ani oficjalna polityka władców państw krzyżowców nie zakładała prześladowań przedstawicieli innych religii.

Muzułmański podróżnik Usama ibn Munkiz w swoim pamiętniku *Kitab al-l'tibar* opisał sytuację, w której grupa templariuszy uratowała go przed agresywnym pielgrzymem przybyłym z Europy. Wiarygodność przekazu ibn Munkiza raczej nie podlega wątpliwości, gdyż autor wielokrotnie pokazywał brutalne zachowania wielu Europejczyków przybyłych do Jerozolimy oraz miejscowych łacinników i nie darzył sentymentem zakonów rycerskich.

Oczywiście przypadek tego szlachetnego templariusza mógł być tylko wyjątkiem, zwłaszcza że templariusze na polu bitwy, czy też podczas licznych wypadów na terytoria muzułmanów nie okazywali litości pokonanym. Czy jednak można stosować identyczną miarę do działań wojennych i tych rozgrywających się w pokojowych czasach? Tutaj właśnie warto przyglądać się każdej sytuacji z osobna.

Bankierzy i rycerze

Kiedy weźmie się pod uwagę wiele czynników, templariusze przypomną starożytnych Spartan. Reguła nastawiona na ćwiczenia wojskowe i ograniczająca możliwe rozrywki, surowe wymagania dotyczące wyglądu, nacisk na odwagę w boju – wszystko to czyniło z braci zakonnych nieulekłych wojowników. Spośród członków brac-

twa bitwę pod Hittin w 1187 roku przeżył tylko wielki mistrz Gerard de Ridefort. W bitwie pod Gazą w 1244 roku poległo 312 zakonników, co przy ogólnej liczbie braci-rycerzy – było liczbą zawrotną.

Drugą stroną medalu niezwykłej waleczności mnichów była niestety bezwzględność na placu boju. Jednak, poznawszy historię, łatwo zauważyć podobieństwa wszystkich kampanii wojennych prowadzonych od czasu starożytności aż do dziejów współczesnych. W ekstremalnych warunkach toczącej się bitwy niezwykle podobni do siebie byli starożytni legionieści,

średniowieczni rycerze i żołnierze armii aliantów z II wojny światowej. Jak mawiał narrator pewnej serii gier komputerowych: wojna nigdy się nie zmienia.

Templariusze nie tylko walczyli, ale też zajmowali się działalnością bankową. Ich dobrze strzeżone domy zakonne (templum) stanowiły bezpieczną bazę dla zdeponowanych pieniędzy, co wraz z licznymi nadaniami ziemskimi znacznie powiększało majątek wspólnoty. Jednocześnie dokumenty papieskie podkreślały niezależność zakonu od miejscowych władz zarówno świeckich, jak

i kościelnych. Paradoksalnie te właśnie przywileje przyczyniły się do ostatecznego upadku templariuszy. Istnienie silnej organizacji militarnej nierespektującej woli władców musiało być cierniem w oku monarchów. Zagarnianie powierzonego im zastawu, toczenie sporów sądowych i militarnych z miejscowymi władzami, próby niweczenia rozmów pokojowych nie mogły zaskarbić zakonnikom sympatii mimo niewątpliwego męstwa w boju.

Przy okazji bogactwa zakonu warto wspomnieć o trochę zapomnianej działalności bractwa. Templariusze, podobnie jak joannici czy inne zakony (niekoniecznie rycerskie), prowadzili działalność charytatywną. Reguła zakonna zabraniała braciom w białych płaszczach z czerwonym krzyżem posiadać prywatne dobra, a zobowiązywała do rozdawania jałmużny, dokarmiania głodnych i biednych.

Czarna legenda czy ziarno prawdy?

Nie należy ukrywać, że głównym powodem niestawnego końca zakonu było jego bogactwo. Liczne nadania ziemskie, papieskie przywileje oraz zyski czerpane z działalności bankowej pomnażały majątek bractwa. Między innymi dlatego



źródło:wikimedia.org

Filip Piękny, wiecznie potrzebujący pieniędzy w procesie scalania i umacniania pozycji Francji w Europie, połakomił się na dobra templariuszy. Zakon był po prostu jego kolejnym celem po bogatych kupcach i Żydach. Celem, który niestety dawał preteksty do podjęcia działań przeciw sobie.

Panująca wśród królów i książąt niechęć do zakonu zaczęła kiełkować dużo wcześniej niż za panowania francuskiego monarchy. Templariusze, podobnie jak Krzyżacy w Polsce, byli niewygodni ze względu na dużą niezależność od miejscowych władz świeckich i kościelnych. Niezależnie od tego, czy mowa o Królestwie Jerozolimskim w XII wieku, czy czternastowiecznej Francji.

A co z herezjami zakonników? Czarami? Rytuałami? Bałwochwalstwem? Stuprocentowej pewności raczej nie uzyskamy. Wymuszony torturami i poprzez zastraszenie materiału dowodowy sprzed 700 lat dawał idealną wymówkę Filipowi Pięknemu, ale raczej nie oddaje pełni prawdy. Co ciekawe, odnalezienie tak zwanego pergaminu z Chinon rzuciło nowe światło na proces templariuszy. Zapisane tam informacje podkreślają wątpliwy charakter oskarżeń. Nawet oślawione polecenia plucia na krzyż i zaparcia się wiary podczas



ceremonii przyjęcia do zakonu przestają wyglądać na próbę złamania kandydata celem wymuszenia od niego bezwzględnego posłuszeństwa, ale stają się próbą zahartowania go na wypadek podobnych żądań, jeśli ów kandydat dostałby się do niewoli (co zresztą przypomina szkolenie niektórych jednostek specjalnych we współczesnych armiach).

Zatem jaki w rzeczywistości był zakon? Osoby oczekujące jednoznacznej odpowiedzi lub pragnące widzieć świat jedynie w czarno-białych barwach będą rozczarowane, gdyż nie da się tego wytłumaczyć jednym zdaniem. Zakon, jak każda organizacja, miał swoje wady i zalety. Popełniał błędy i wykazywał się heroizmem. Jego członkowie czynili zło, ale i czynili dobro.

Na koniec ciekawostka dla tych, którzy negują siłę oddziaływania legend związanych

z templariuszami na współczesną kulturę. Wróćmy jeszcze na chwilę do początku XIV wieku i aresztowania zakonników. Źródła historyczne wspominają o doskonale zorganizowanej akcji królewskich żandarmów. Nie ma żadnych wzmianek o jakimkolwiek zbrojnym oporze ze strony walecznych mnichów. Templariusze na terenie całej Francji zostali aresztowani tego samego pechowego dla nich dnia.

Tym dniem był piątek 13 października 1307 roku.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło:unsplash.com

Spisz swój testament i mi wyślij DM-em



Marcei Hejwowski

W albumie Taco Hemingwaya *Café Belga*, w piosence 2031 padają słowa „W ‘18 moją buzię ma co druga tapeta / A Tamagotchi całe boże lato hula na baletach”. I tak właśnie było. Wakacje 2018 r. w znacznej mierze przesiedziałem z kolegami, w domu czy „w plenerze”. Naszym nieformalnym hymnem było *Tamagotchi* w wykonaniu z Dawidem Podsiadłą. Słyszałem je tyle razy, że zdążyłem przemyśleć.

Jak się zresztą jednego wieczoru okazało, nie tylko ja. Zasiadliśmy raz we trzech u mnie i bardzo późnym już wieczorem postanowiliśmy dokonać analizy dzieła literackiego duetu Taconafide. Puszczaliśmy sobie po kilka wersów i omawialiśmy. Mieliśmy podobne odczucia co do wymowy całego utworu, choć nie we wszystkim się ze sobą zgadzaliśmy. Piosenka

w dużej mierze odnosi się do tematu rozpadu wszelkich relacji i ociężałego, rozkojarzonego umysłu.

Znowu mam hikikomori

Czy mieliście kiedyś uczucie przytłoczenia tłumem? Czy czuliście kiedyś chęć ucieczki od otoczenia, schowania się? Czy odczuwaliście niechęć do lu-

dzi, którzy ciągle od was czegoś chcą? Jeżeli tak, to zrozumiecie odczucia Taco Hemingwaya, które ten raper często przywołuje w swoich utworach. Taco chciał być znany, aby zarabiać na muzyce, ale zaczęła go przytłaczać sława, uosabiana przez fanów niedających mu spokoju. W *Tamagotchi* przywołuje bardzo mocny obraz – hikikomori. Termin ten pochodzi z Japonii

i określa ludzi, którzy wycofują się prawie całkowicie z życia społecznego, większość czasu spędzając w domu, czy nawet w jednym pokoju. Jest to w Kraju Wschodzącego Słońca, a także w Korei i na Tajwanie, poważny problem społeczny, obejmujący dość szeroką grupę. „The Japan Times” podaje, że japońskie władze w 2010 roku szacowały liczebność hikikomori na około 700 000. W każdym razie, życie w dość sporym mieście, jakim jest Warszawa, w naturalny sposób skłania do poszukiwania odosobnienia, miejsca, do którego dopuszcza się tylko bliskich – i Boga. W relacji z Bogiem potrzebujemy też przestrzeni wolnej od innych osób. Tylko że często tej sfery nie pozwalamy sobie stworzyć. Gdy już ucieknijemy do domu, skończywszy wszystkie obowiązki „na mieście”, pozwalamy sobie bezrefleksyjnie zajmować swój wolny

czas. W domu brutalnie wdzieram się w ten czas szkoła, praca... Jesteśmy „zawaleni” pracami domowymi, piszemy maile do współpracowników. Jeden z moich kumpli, tych, z którymi interetowałem *Tamagotchi*, bardzo mocno to odczuwa. W tygodniu ma dwie prace – haruje od rana do wieczora. Raz na dwa tygodnie w weekendy ma zjazd, bo studiuje zaocznie. Gdy w końcu znajduje czas, by wyjść z nami czy z innymi kolegami na „szybki browarek”, bardzo często zdarza się, że i wtedy dzwonią do niego z pracy w jakichś biznesowych sprawach. Inną sprawą jest to, że często mnóstwo czasu marnotrawimy na mediach społecznościowych, na zupełnie błahych sprawach, na oglądaniu memów czy bezsensownych rozmowach na Messengerze. Jeśli chodzi o mnie, to ten drugi problem rozwiązałem dość radykalnie – kasując konto na Fa-

cebooku. Aczkolwiek dla osoby obdarzonej odrobiną silnej woli nie będzie chyba problemem ograniczenie czasu spędzanego na śledzeniu „fejsika”, „snapika” czy „insta” w mniej drastyczny sposób. Ostatnio poważnie zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby dla mnie wszystkie sprawy związane z nauką rozwiązywać, przesiadując w kawiarni, lżejsze rzeczy (takie jak czytanie dwudziestostronicowych tekstów) zostawić na następny dzień w komunikacji miejskiej (szczególnie dobrze czyta się w pociągu, nawet jeśli utknie przed stacją na pół godziny) i w domu mieć prawdziwie wolny czas, a nie taki, w którym niby coś robię i niby odpoczywam.

Jak Tamagotchi

Mieliście kiedyś Tamagotchi? Przypuszczam, że przynajmniej kojarzycie, co to jest. Mała, jajkowata (słowo tamago zresztą oznacza „jajko” po japońsku) konsola. „W środku” jakaś postać, zwykle zwierzątko. Trzeba permanentnie o nie dbać. Nakarmić, gdy jest głodne, napoić, gdy jest spragnione. Ukołysać do snu, gdy nadchodzi noc. Liczba tych czynności nie jest wielka, różni się w zależności od modelu, ale zarazem zawsze jest też powtarzalna, systematyczna. „Nasze pokolenie – Tamagotchi” zaczyna zwrotkę





źródło:unsplash.com

Hemingway. Później pada refren, rozstawiony w wykonaniu z Dawidem Podsiadłą: „Pić, jeść, spać, jak Tamagotchi / tylko pić, jeść, spać, jak Tamagotchi”. Czy w życiowym zabieganiu przypadkiem nie staliśmy się właśnie tacy? Pracujemy, jemy, lecimy spać. W weekend impreza, jemy i pijemy, a potem idziemy spać. Czy zbyt duża aktywność nas nie pochłania? Czy nie daliśmy się wyzuć z wartości, z momentów refleksji, zadumy, spokojnych momentów, w których nic się nie dzieje? Czy wszystko, co robimy, nie staje się wysysającymi z naszego życia banałem i nudą? „Ciagle iść do przodu to nie postęp” – te słowa, pojawiające się na końcu,

wspomniany już kolega zinterpretował w mniej więcej taki sposób: „Pracujesz w lepszej pracy niż kiedyś, często masz jakieś szkolenia, jednocześnie studiujesz. Ale mimo tego rozwoju nie stajesz się lepszy, problemy tylko się mnożą”. Potrzebujemy czegoś więcej niż rozwoju osobistego – potrzebujemy wartości. Dla autorów tekstu tą wartością jest miłość, konkretnie miłość do drugiej osoby. I dla nas taka miłość, nie tylko do innych ludzi, ale również (czy może raczej: „przede wszystkim”) do Boga, może ożywić tę monotonię. Musimy znajdować czas na modlitwę, na słuchanie naszego Pana. Potrzebujemy też znajdować go na podtrzymywanie dobrych, porządných relacji międzyludzkich.

Nie wiem, co mi gra w tej duszy, ale muszę bis

Quebonafide zaczyna swą część tekstem „pić, jeść, kochać, a ty – wbić się w lokal”. Najważniejsze dla niego są osoby bliskie, potrzebuje kochać. Niechętnie odnosi się do ludzi, dla których najistotniejszy jest mełanż w weekend. Daje mocno do zrozumienia, że brakuje mu bliskości. Żali się: „uśmiechasz do mnie się tylko na tych emotach”, prosi: „kochanie, obudź mnie jak kubek Yerby” i „weź mi pomóż sprawić, że to serce pyknie

mi jak Tamagotchi”, zastanawia się nad intensywnym, krótkim substytutem bliskości, mówiąc: „Stop, w mojej głowie tysiąc pytań, rozwiązuję quiz / Czy zamówić miłość dzisiaj tak jak Uber Eats?”. Zdaje się, że jednak tego nie robi, bo stwierdza: „nie chcę wytapetowanej damy, tylko ikonę / Bo jak nie nauczy mnie niczego, to mi nic po niej”.

Nie sięgajmy po półśrodki. Ani szybkie, namiętne, krótkie flirty, ani znajomość realizująca się przede wszystkim na Messengerze nie zastąpi nam prawdziwej relacji. Tym bardziej w relacji z Bogiem nie możemy urzeczywistniać jakichś duchowych dróg na skróty. I może to już wyświechtana mądrość, ale jak powiedział święty Jan Paweł



źródło:wikimedia.org

II: „Wymagajcie od siebie, nawet jeżeli by inni od was nie wymagali!”

Panie Boże, daj mi nowy software

Dawid Podsiadło zaczął swą część, śpiewając: „spisz swój testament i mi wyślij DM-em”. Wizja wysyłania komuś swojego testamentu Messengerem sprawia wrażenie absurda, ale osobiście mnie już się ona taka zbyt nie wydaje. Wielokrotnie zetknąłem się z tym, że ktoś załatwiał ważne, życiowe sprawy właśnie tą drogą. Nie jest to w żaden sposób normalne; świadczy o obniżeniu się poziomu odpowiedzialności, czy też może odwagi. Ludzie wiadomością tekstową potrafią przekazywać treści, które wypadałoby powiedzieć prosto w twarz. Słynny wokalista od-

niósł się zresztą do tego tematu w piosence Matylda: „Atakuj, atakuj, mam to co dnia / Cyfrowych cwaniaków, już za dobrze znam, dobrze znam, dobrze znam”. Ta zwrotka pokazuje też przeciążenie internetem – „kiedyś śniły mi się chmury, dzisiaj śni się internet / Tylko pić, jeść, spać, znowu w żyłach ten tercet [...] Chcą znać moją wartość i mi wchodzą na konta / Ale gdy zamykam oczy, widzę łąkę z Windowsa”. Powraca ten sam motyw – za dużo uwagi poświęcamy temu, co w internecie, a za mało temu, co jest blisko nas, w realnym świecie.

Moim zdaniem Tamagotchi zasłużyło na rozgłos. W tekście jest jeszcze wiele innych refleksji, nawiązań, bogaty jest też teledysk, a śpiew Podsiadły zapada w pamięć. Wnioski, jakie nasuwają mi się, gdy wspomnam te letnie chwile, w których



źródło:unsplash.com

śluchaliśmy tego hitu, są takie: oszczędźmy trochę nasz umysł, oszczędźmy mu natłoku wrażeń płynących z internetu. Szanujmy swój czas, nie dajmy się wchłonać w wir działań, które nie przynoszą nam prawdziwego rozwoju, a wręcz wyniszczają. I twórzmy relacje żywe, w realnym świecie, wirtualności używając jako pomocniczego narzędzia, nie zaś jako zastępstwa.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło:pixabay.com